



*Czesław Kuriata*

**CZESŁAW KURIATA**  
WYDAŁ DOTYCHCZAS

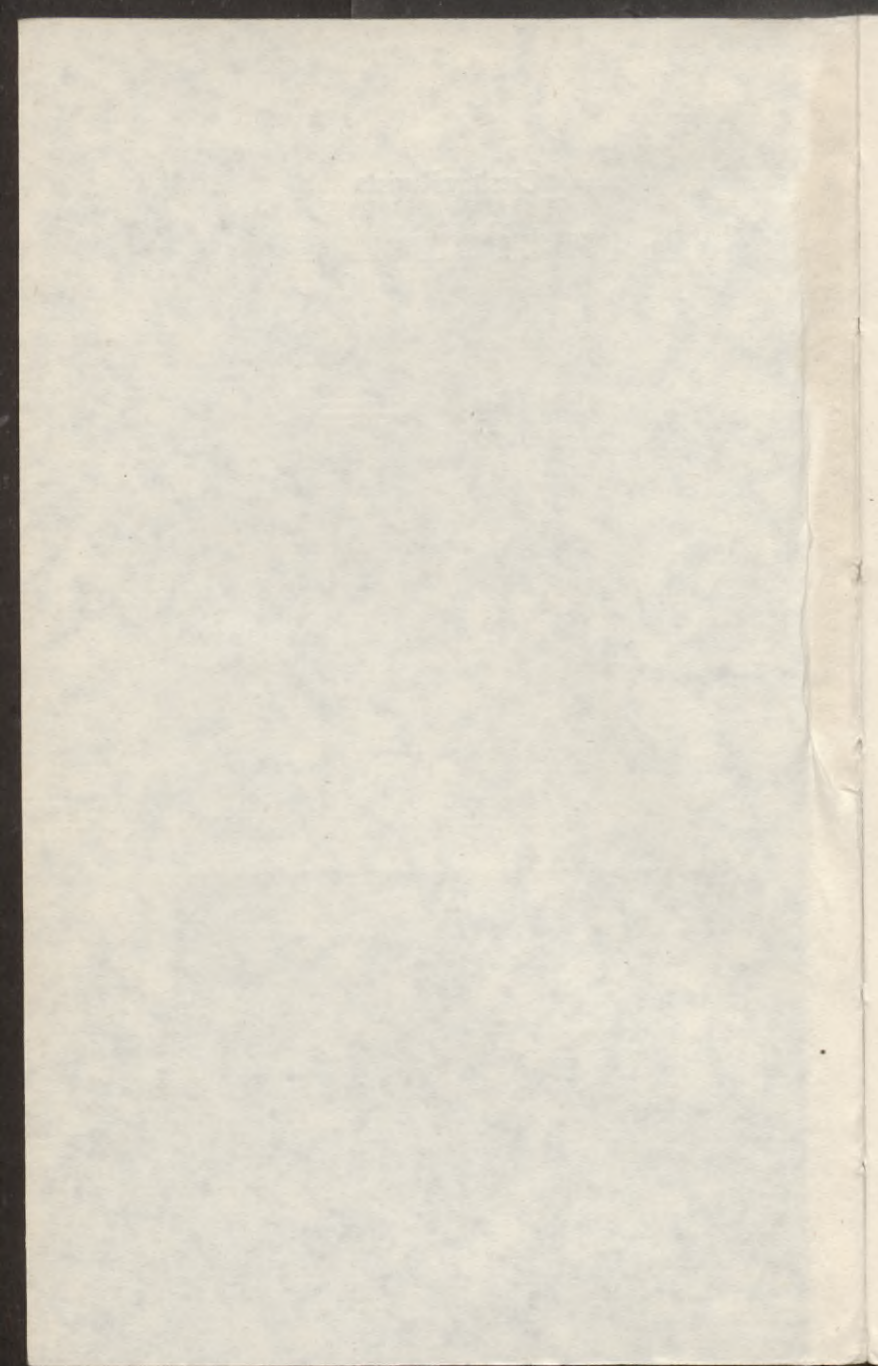
**NIEBO ZRÓWNANE Z ZIEMIĄ**  
*wiersze — 1961*

**DZIEWCZYNA POD KWIATAMI**  
*opowiadania — 1962*

**GALOP DO WIELKIEGO LASU**  
*powieść — 1965*

**POWRÓT KSIĘCIA ERYKA**  
*poemat historyczny — 1965*

Czesław Kuriata  
**NAPRAWDĘ  
JUŻ PO WOJNIE**



Czesław Kuriata  
**NAPRAWDĘ  
JUŻ PO WOJNIE**



Obwolutę, okładkę i stronice tytułową projektował  
WIEŚŁAW RUDZIŃSKI



91853

884-3

MBP Słupsk Centrala



91853

## **Parszywa natura ogniomistrza Kłosa**

Szef baterii ogniomistrz Kłos był niepodobny do innych podoficerów, o tym wszyscy dobrze wiedzieli. W innych bateriach ludzie chwalili swoich szefów, tylko oni dostali takiego dziwoląga. Ogniomistrz Kłos nawet teraz po wojnie, gdy od tygodni już gospodarzyli na majątku w Bobrzyńsku, zakradał się do drze-  
miących wartowników i wyjmował im zamki z karabinów; jego bystre oczka zawsze wypatrzyły nie dopięty mundur czy brak guzika, najdrobniejsze braki w oporządzeniu; co dzień potrafił przyczepiać się do kanonierów z powodu drobiażdżków. To wszystko nie mieściło się w ich głowach, bo swoim chłopskim rozumem wiedzieli, że teraz po wojnie najważniejsze ich zadanie to dobrze gospodarzyć, co potrafili doskonale, bo przecież całe życie pracowali na roli i stęsknili się za ziemią, której nigdy nie posiadali za dużo, o której zawsze marzyli. Do guzików jednak nie mieli rąk nawykłych, ich ręce od wideł i pługa nigdy

nie przyszywały guzików, bo zawsze była to sprawa kobieca.

Ogniomistrz Kłos niczego nikomu nie darował, a jeśli był na kogoś zły, nawet za zgubienie guzika wyznaczał karę. Karał za nieprawidłowe meldowanie się, a oni przecież nie byli w mowie uczonej obrotni — i o tym, jeśli on sam taki uczony, wiedzieć powinien. Oni byli robotni i niechby ogniomistrz kiedyś stanął z nimi przy gnoju albo przy koniach, ale on nigdy nie stawał razem z nimi do roboty, węszył tylko wokół i wyszukiwał dziury w całym. Za to czepianie się z byle powodu nie lubili kanonierzy-chłopi swego szefa. Najbardziej nie mógł mu darować jego parszywej natury Klemens Janowicz. To on właśnie pierwszy w Bobrzyńsku swoim chłopskim rozumem zaczął obmyślać zemstę ogniomistrzowi. Zamyślił, że nie będzie mu salutować. (Teraz mógł to robić bez większego strachu, był bowiem czas powojenny i oprócz kilkudniowych areztów, nie mogło mu grozić coś gorszego.) A trafił tym w dziesiątkę, bo Kłos jak nikt inny na oddawanie sobie honorów był nadzwyczaj wyczulony. Od pewnego więc czasu Janowicz, widząc, że idzie w jego stronę szef baterii, odwracał się do niego plecami. Udawał, że go nie zauważa, ale Kłos dobrze wiedział, że kanonier robi tak naumyślnie.

— Czy kanonier nie widzi, że przed nim stoi ogniomistrz?! — Kłos zachodził go od przodu.



— Ach, przepraszam, obywatelu ogniomistrzu, nazbierało się tego gnoju, więc staram się, aby umęczone koniki wiedziały, że my ludzie i dbamy o nie...

— To dla was ważniejsze durne zwierzaki! Wy tak już od dawna!!!... — krztusił się własną złością ogniomistrz.

— Jejbohu, nie wiedział ja — uśmiechając się mówił Janowicz, bo choć cholernie chciał być poważny, nie mógł nie uśmiechnąć się widząc, jak dopiekl do żywego podoficerowi.

— A teraz widzi mnie kanonier?

— A czemu ja miałbym nie widzieć?... — dobrodusznie odpowiadał.

— Salutować to kanonier nie raczy nigdy!... Nawet kiedy stoję przed jego nosem!!!

— To ja myślał, że obywatel ogniomistrz za blisko... Jak tak z bliska? — tłumaczył się Janowicz.

Teraz szef baterii siniał na twarzy.

— Kanonier Janowicz, salutować mnie! — krzyczał trzęsąc się niczym w chorobie.

— Jak obywatel ogniomistrz sobie życzy — mruczał Janowicz i leniwie salutował.

Ale szefowi baterii to nie wystarczało. Złość jego dopiero trochę tajała, kiedy Janowicz salutując przeszedł obok niego kilka razy. Tak, to prawda, złość ogniomistrza trochę malała, ale zawziętość pozostawała nie zmniejszona.

— Siedem dni ścisłego! — krzycząc odchodził.

I szedł kanonier Janowicz na siedem dni do

aresztu, jak chodził tam często, ale siedział najczęściej dwa, trzy dni, rzadko cztery, bo zawsze była jakaś pilna robota, więc dowódca plutonu wcześniej musiał go zwalniać...

Gdyby ktoś głębiej wejrzał w duszę kanoniera Klemensa Janowicza, zrozumiałby, że najważniejszą przyczyną jego pogardy dla ogniomistrza Kłosa był chłopski rozum, co to sądzi jednego człowieka porównując go do innych, bo wtedy widać jak na dłoni, kto lepszy, a kto gorszy. W tym przypadku porównanie takie narzucił, sam nie wiedząc o tym, dowódca baterii, kapitan Siergiej Aleksandrowicz Arszenko. To jego wina, że wszyscy widzieli, jakim parszywcem jest ogniomistrz Kłos. I choć kapitan także nieraz kłął kanonierów i karał ich nielicho za to właśnie, że nie szanują swego szefa, było w tym wszystkim wiele jego własnej winy. Tak, z porównania osoby kapitana Arszenki i ogniomistrza wychodziło jasno, jaki wredny człowiek ten Kłos — i nie byłby szef baterii taki najgorszy, gdyby trochę gorszym człowiekiem był dowódca. Kapitan, choć o wiele ważniejszy od ogniomistrza, nie krzyczał, że ktoś ma nie zapięty mundur, a kiedy na przykład wchodził do stajni, z której kanonierzy wyrzucali gnój albo oporządzali konie, i któryś z będących tam bombardierów krzyknął — baczność! — kapitań machał ręką i mówił: — Nie nada, nie nada rebiata. — I wiele innych rzeczy widzieli kanonierzy, które różniły kapitana Arszenkę



i ogniomistrza Kłosa. — To nasz dowódca jest w prawie — szeptali po kątach i dziwili się, dlaczego kapitan karze ich za tego parszywca. W głowach kanonierów wciąż coś się nie zgadzało, nie mogli pojąć, z jakiego powodu dowódca ciągle broni wrednego Kłosa. Wreszcie chłopci poszli po rozum do głowy i wykalkulowali, że ich dowódca pewnie inaczej nie może, bo w wojsku nawet po wojnie musi być dyscyplina. Zaraz też przypominali sobie, że nikt znowu takich srogich kar za szefa nie dostawał, i to ich trochę uspokajało. Zaczęli nawet głośno gadać między sobą, że gdyby kapitan mógł, toby ich za ogniomistrza nigdy nie karał ani nie słuchał żadnych donosów. Tak, pewnie za byle co, a więc i za nieregulaminywe meldowanie się ogniomistrzowi, nikomu nie spadłby nawet włos z głowy. Na froncie dla kapitana Arszenki najważniejsza była odwaga i bicie hitlerowców i nie było ważniejszego od tego, podobnie jak teraz w Bobrzyńsku najważniejszą sprawą jest gospodarzenie.

Jak to jednak mogło się tak stać, że od dawna, jeszcze od czasu wojny, zwykły kanonier mógł drzeć koty z szefem baterii, a nawet na oczach wszystkich okropnie go lekceważyć? Za takie coś w innych bateriach posyłało się do karnych kompanii! A może ta hardość upiekała się zwykłemu kanonierowi właśnie dzięki mądrymu dowódcy, który przecież wiedział, że cała bateria nienawidzi ogniomistrza Kłosa. Kapitan Arszenko musiał przecież i to wie-

dzieć, że jeśli wszyscy w stu procentach kogoś nie lubią, nie może ten ktoś być bez winy. A jednak była jeszcze inna ważniejsza przyczyna, dla której zwykły kanonier z taką otwartością mógł sprzeciwiać się ogniomistrzowi. Otóż kapitan Arszenko nienawidził tchórzów... A może inaczej, Klemens Janowicz był podobny do kapitana Arszenki. O tym podobieństwie nie mógł nie wiedzieć szef baterii i być może najbardziej właśnie za to mścił się na Janowiczu. Dokładniej mówiąc, może Janowicz nie tyle był odważny, co nigdy na wojnie nie bał się śmierci, a więc nigdy nie tchórzył. Widział to kapitan Arszenko i nie mógł w porządnym myśleniu o ogniomistrzu i kanonierze nie brać tego pod uwagę. Nie mógł też dowódca nie wiedzieć o tym, że ogniomistrz Kłos jest wielkim tchórzem, jeśli wiedziała o tym cała bateria. Być może dlatego właśnie że Kłos był tak wielkim tchórzem, za wszelką cenę chciał być wielkim służbistą, żeby w ten sposób zatrzeć swoje śmierzące tchórzostwo. Ale karaniem żołnierzy za brak guzików, wyjmowaniem zamków śpiącym wartownikom, czy karami za nieprawidłowe meldowanie się nikt jeszcze z oficerów, od początku świata na wszystkich frontach po obu stronach, nie przestał być tchórzem i nie stał swojej hańby. Wiedzieli o tym wszyscy w baterii i wiedział Janowicz, i wiedziałyby o tym nawet dzieci, że niewielka to sztuka dla podoficera popisywać się odwagą przed swoimi żołnierzami, a sztuką jest

być odważnym, gdy Niemiec strzela, i nie bać się nigdy śmierci. I tu wszyscy kanonierzy, szczególnie Janowicz, mieli ogniomistrza w ręku. Ot, na przykład, gdy nadlatywały samoloty, Kłós bladł, drżał, kulił się, ręce mu latały jak w febrze i pocił się tak sztraszliwie, że wszyscy w baterii przysięgliby, że czuli od tego potu rozchodzący się smród. W takich chwilach, kiedy ogniomistrz uciekał do piwnicy, Klemens Janowicz kroił sobie tytoń na koryszki. Zawsze robił to dokładnie i powoli, aby, nie daj Boże, nie uronić ani jednej okruszki. I siedział jak gdyby nigdy nie pod bombardującymi samolotami, i nie ruszył się z miejsca wcześniej, dopóki nie skończył roboty. Bywało, że w takich chwilach nalotu kapitan Arszenko stawał obok niego i spokojnie przyrządzał sobie smacznego skręta, bo Janowicz umiał robić koryszki, które smakowały jak najlepsza machorka. A kiedy po odlocie samolotów kanonierzy wracali z piwnicy (i znalazł się już szef baterii), ze zdziwieniem pytali Janowicza, dlaczego nie krył się, a on odpowiadał, że gdyby zawsze uciekał, jak mu szwaby przeszkadzają, to nigdy nie miałby co zapalić. Wierzyli, że mówi szczerze, bo wiedzieli dobrze, jaki jest akuratny. Janowicz, jak zaczął coś robić (i to nawet nie dla siebie prywatnie, a w stajni albo przy dziale), to niechby wtedy strzelali nie wiem jak i nie wiem z czego, on nie ruszał się, zanim roboty nie skończył. Jedynie ogniomistrz Kłós myślał pewnie, że Janowicz robi tak spe-



cjalnie, aby popisywać się swoją odwagą. W baterii mówiono, że Janowicz głupi, bo nie boi się śmierci, ale mówienie mówieniem, a wszyscy po cichu z podziwem na niego patrzyli — i sympatycznie patrzył na Janowicza kapitan Arszenko, choć wielkiej sympatii, może właśnie z powodu ogniomistrza Kłosa, nigdy mu nie okazywał.

Wreszcie w ostatnich tygodniach wojny zdarzyło się coś, co przypieczętowało całkowitą klęskę ogniomistrza Kłosa. Któregoś dnia wyznaczano kanonierów do pójścia z jedzeniem na punkt obserwacyjny. Traf chciał, że akurat Janowicz nawinął się na oczy ogniomistrzowi Kłosowi, który jakby na to właśnie czekał.

— Kanonier Janowicz, pójście na punkt obserwacyjny! — powiedział mściwie.

— To ja, obywatelu ogniomistrzu, nie dalej tam chodził jak wczoraj — odpowiedział Janowicz rzeczowo, bo był uświadomiony i wiedział, że nie wyznacza się co dzień na punkt obserwacyjny.

— Nie gadać! To rozkaz! — krzyknął szef baterii. — Aha, a więc tchórzycie? — zjadliwie uśmiechnął się.

— Ja nie tchórzę — odparował Janowicz. — To szef zawsze tchórzy i to wszystkie my wiemy — zwrócił się do stojących wokół żołnierzy, jakby czekał na potwierdzenie przez nich prawdziwości swoich słów.

— Ja nie tchórzę! Kanonier Janowicz tchórz! — wrzasnął Kłos.

— Jak obywatel ogniomistrz nie tchórzy, to pójdzie ze mną na punkt obserwacyjny — odpowiedział spokojnie Janowicz.

Na te ostatnie słowa nadszedł kapitan Arszenko i to, co miało się stać, już się nie mogło odstać. Szef baterii, choć nigdy nie chodził na punkt obserwacyjny, tym razem nie mógł się wyłgać, głupawo czując się przed dowódcą. Wił się w swojej bezradności i pewnie obiecywał Janowiczowi taką zemstę, o której ten pamiętałby jeszcze dziesięć lat po wojnie, ale najpewniej to przeklinał pecha, że akurat na te słowa kanoniera o pójściu razem z nim na punkt, nadszedł kapitan Arszenko. Tak czy inaczej, nic się nie mogło już odmienić. No, i poszli. Założyli baki na plecy, umocowując je rzemieniami i dobrze opinając, bo nie były lekkie. Poszli zgodnie ze zwyczajem w trójkę. Tym razem ogniomistrz Kłos, kanonierzy Łoś i Janowicz.

Punkt obserwacyjny był wysunięty w stronę Niemców, na niewielkim wzniesieniu, bo choć to niebezpieczne, tak już musi być zawsze, żeby wyraźnie widzieć Niemca i sprawdzać, czy bateria dobrze strzela, i w razie niecelności poprawiać. Nie uszli wtedy i pół kilometra, gdy nagle kilkanaście kroków przed nimi wybuchł pocisk. Szczęściem szli rowem, więc oprócz grudek ziemi nic żelaznego ich nie dotknęło. Zanim ocknęli się, nie było już przy nich Kłosa, zobaczyli tylko porzucony bak i jego skulony cień umykający w stronę, gdzie stała

bateria. (Potem kanonier Janowicz przysięgał, że widział kurz, jaki wzbijał się pod nogami nawiewającego ogniomistrza, ale nikt co do tego kurzu nie dawał mu wiary, choć wszyscy bez najmniejszej wątpliwości uwierzyli w tchórzostwo szefa baterii, bo go dobrze znali.) Kiedy minęła chwila i kiedy już pewnie nawet Janowicz nie widział kurzu pod nogami uciekającego szefa, Łoś powiedział:

— Wracamy i my, zaraz będzie tu piekło.

— Nie, szczęśliwie Kłowski, wiedząc, jaki on jest, dali bak z trzecim daniem, a bez trzeciego dania można się obyć. My na Wołyniu nigdy nie jedli trzeciego dania i zdrowe byli...

— odpowiedział Janowicz, uśmiechając się szeroko i szczerze, jak tylko wołyńscy chłopci potrafia się uśmiechać.

Łoś tym jego uśmiechem w takiej chwili, kiedy niemiecka artyleria mogła ich roznieść w drebiezi, zdziwił się co niemiara, przemknęło mu nawet przez myśl, że pewnie Janowiczowi rozum pomieszało. Łoś do dziś przysięga, że Klimko mruknął do siebie z wielkim zadowoleniem: — Teraz mi się na oczy nie pokazesz, parszywy.

— Chcesz, żeby nawet twoich kości nikt nie znalazł? — mówiąc to, Łoś pociągnął kolegę za rękaw, ruszając w stronę baterii. Ale to jakby właśnie obudziło Janowicza, który krzyknął, żeby Łoś natychmiast się zatrzymał.

— Przecie teraz mamy prawo.



— Tam na nas czekają, to też ludzie i chcą zreć... A prawa nijakiego ten parszywiec nie będzie nam ustanawiał.

Głupio zrobiło się Łosiowi, więc zaraz ruszyli dalej. Nie padł już obok żaden pocisk, więc szczęśliwie dotarli na punkt obserwacyjny, a że byli bardzo spóźnieni, obserwatorzy rzucili się do baków jak jakie nieboskie stworzenia. Nikt z nich nawet nie wspomniął o trzecim daniu. Obaj szczęśliwie też wrócili do baterii.

Teraz dopiero nastaly najradośniejsze dni dla Klemensa Janowicza. Chodził wesół i nawet wyrzucając gnój, choć robota ta nie była lekka, nucił jakieś wołyńskie dumki, i teraz jeszcze chętniej niż przedtem częstował koryszkami. Rzecz jasna, Klemens Janowicz roztrąbił na całą baterię o tchórzostwie szefa. Opowiadając o tym, brał na świadka Łosia, że to wszystko najświętsza prawda i o prawdziwszą trudno na tym wojennym świecie. Kanonier Łoś, rad nie rad, potwierdzał każde jego słowo. Do tych opowieści o ogniomistrzu Kłosie kanonierzy dorzucali swoje uwagi, a kilku z nich wciąż powtarzało, że wartowałoby, aby o wszystkim dowiedział się kapitan Arszenko, który nienawidził tchórzy, więc na zawsze mieliby spokój z parszywcem. Oczywiście do ogniomistrza docierało to wszystko, co o nim opowiadają kanonierzy. Szef baterii wiedział, że to sprawka Janowicza, więc ani na chwilę nie

dawał mu spokoju, odgrywał się na nim za swoje tchórzostwo do ostatniej chwili pobytu w baterii...

Któregoś ranka nad rzeczką za Bobrzyńskim kilku kanonierów czyściło konie. Wśród nich był także Klemens Janowicz, który jeszcze przed czyszczeniem wiedział, że jego konie będą najczystsze, bo się do tego porządnie przykłada. Kiedy już prawie wszyscy swoje konie popasali, on swego jeszcze pucował. Wtedy właśnie nadszedł szef baterii. Tym razem nie miał pretensji do Janowicza z powodu salutowania, choć i teraz, gdy Kłós ciągle stał obok, Janowicz udawał, że go po ludzku nie widzi.

— Janowicz, przestańcie się pieścić z tym bydlęciem! — powiedział zaczepnie.

— To nie żadne bydlę, to najlepszy koń, jakiego ja widział w całym swoim życiu — odpowiedział spokojnie Janowicz.

— Nie filozofujcie mi tu, kanonier!!! — ze złości zakrztusił się ogniomistrz Kłós. — Jakże to tak, w płaszczu czyścićie!?

— Ano w płaszczu. Przecie i obywatel ogniomistrz w płaszczu, bo ten ranek zimny niemożliwie.

— Natychmiast zdjąć płaszcz!

— Zimno, obywatelu ogniomistrzu...

— Co, zimno? Biegiem marsz do krzaka i z powrotem! — Kłós wskazał krzak o dwadzieścia kroków dalej.

Biegał tak Janowicz z dziesięć razy, i my-

ślał za każdym razem, że to będzie już ostatni obrót, ale wciąż nie było tego ostatniego biegu. A to już zaczęło złościć nawet cierpliwego wołyńskiego chłopca, zwłaszcza że domyślał się, że to zemsta za wstyd, który od bardzo dawna nosi w sobie ogniomistrz, zemsta za gadanie o jego tchórzostwie. Janowicz zobaczył nagle plecy ogniomistrza w drodze na punkt obserwacyjny, porzucony bak, i już wiedział swoje. Kiedy był blisko krzaków, chwycił oparty o krzak karabin, załadował i zrobił kilka powolnych kroków w stronę Kłosa, mierząc mu akuratnie w samą pierś. Obok kanonierzy, choć zobaczyli, co się święci, poodwracali głowy, aby w razie czego, to oni nic nie widzieli, zdarzało się przecież, że potracony karabin sam wypalił. Popatrzył przestraszony Kłos na siedzących spokojnie żołnierzy, jakby u nich szukał ratunku, ale wszystkie głowy były odwrócone, więc zrozumiał dokładnie, co trzeba było zrozumieć. Zawrócił na pięcie i popędził o wiele szybciej do sztabu, niż Janowicz biegał do krzaka i z powrotem. Bardzo długo śmiali się żołnierze, a śmiech ich odbijał się echem od drzew, tylko Klemens Janowicz był zły na siebie, że nie strzelił, ale zaraz i on roześmiał się, bo zrozumiał, że dobrze zrobił nie strzelając.

Jak było do przewidzenia, wezwano Klemensa Janowicza do dowódcy baterii, ale nikt nie mógł niczego zaświadczyć, bo nikt nic nie widział. Kapitan Arszenko pewnie już wiedział



o wszystkim, co działo się między ogniomistrzem a kanonierem, więc nawet nie zwymyślał Janowicza, a dla ludzkiego oka dał mu trzy dni aresztu. Kiedy Janowicz odmeldował się, podał mu nawet rękę i jak swój do swego miał prośbę:

— Nie dokuczaj jemu, czorcie jeden... On zdieś przychodzi płakać jak rebionok — tak jakoś, pół po polsku, pół po rusku, wyraził swoją prośbę.

W chwili, gdy wszedł żołnierz służbowy, aby zabrać Janowicza do aresztu, kapitan krzyknął:

— Sztob z was nie był dobry soldat na wojnie i siejczas charoszyj chazjain, jab was dał pod sąd!

Nie minęły i dwa tygodnie, a poszedł do innego pułku ich szef baterii ogniomistrz Kłos. Niejeden z kanonierów coś tam przebąkiwał, że maczał w tym palce sam dowódca kapitan Siergiej Aleksandrowicz Arszenko.

— Ja by i darował jemu jego parszywą naturę, żeby on nie miał w takiej pogardzie koni — ku zdziwieniu wszystkich któregoś dnia powiedział Janowicz, gdy ktoś wspomniał ogniomistrza Kłosa.

## Wesele u osadników

Nowy szef baterii, starszy ogniomistrz Kosiński, wyznaczył na patrol kaprała Kazimierza Naftę oraz kanonierów Klemensa Janowicza i Juliana Markiełę. Ma się rozumieć, że dowódcą patrolu został kapral Kazik Nafta, który, trzeba o tym od razu powiedzieć, był zawsze tak samo odważny jak narwany. Na wojnie narwaność jego nie kłuła nikogo w oczy, bo odnosiła się przede wszystkim do Niemców, dostawał więc za to pochwały i odznaczenia, szczególnie za przyprowadzanie języka, co potrafił jak nikt w baterii. Kłopot zaczął się z Kazikiem Naftą po wojnie. Niektórzy nawet dziwili się, że takiemu wariatowi nie zabierają kaprała, ale inni zaraz odpowiadali usprawiedliwiająco, że dowódcy mają wyrozumienie dla niego z powodu frontowych zasług. Na czymże narwaność jego polegała? Przede wszystkim na zaczepnej naturze i wrednym charakterze, który nigdy nie pozwalał mu usiedzieć w miejscu bez szukania zwady, wszystko

jedno z kim, bez wyboru, kto był pod ręką. Kapral Nafta znany był w baterii z bójek z kolegami, a nawet z jakichś drak z wsiowymi cywilami, o czym też wiele mówiono. Zdaje się, przyzwyczaili się już wszyscy trochę do jego wrednego charakteru, tylko dowódca plutonu chorąży Stokroń, a nawet sam dowódca baterii kapitan Arszenko kilka razy źli jak czorty, obiecywali mu coś więcej niż ścisłe areszty.

Znając cholerną naturę Kazika Nafty, niechętnie z nim wyszli na patrol Julian Markieło i Klemens Janowicz. Bali się po prostu jakiejś nowej draki. Nie przeszli i dwustu metrów, kiedy Kazik przystanął, odwracając się do nich.

— Panowie, zaproszono nas na wesele — powiedział mrugnawszy do nich cwaniacko.

— Jakie ci się znowu przyśniło wesele, Kazik? — ze złym przeczuciem zapytał Janowicz.

— Zwyczajne, ludzkie, gdzie popijesz i pojesz jak trza.

— Tyś, Kazik, zażartował — odezwał się piskliwie Julcio Markieło.

— Przecie my wyszli na patrol — upomniął Kazika Janowicz.

— Jakby ty zgadł, Klimko! Patrol to jest patrol, musi wszystko widzieć i wiedzieć... A skąd ty wiesz, że na tym weselu nie będą rozrabiać nasze chłopaki?

Obydwu ich aż zatkało! Jak na ironię losu o rozrabianiu powiedział nie kto inny, tylko właśnie Kazik Nafta. Nic jednak nie odpowie-



dzieli, bo jakby tak na poruszoną sprawę popatrzeć bezstronnie, nie biorąc pod uwagę czorciej natury Kazika Nafty, to miał on rację. Uczono ich przecież, że patrol powinien wiedzieć wszystko, co dzieje się w okolicy.

— Panowie, szybciej, bo sucho w gardle jak cholera... Po wojnie nie byłem jeszcze na żadnym weselu!

— Ja też nie był — oblizał się Julcio Markieło i nagle połapał się, że niechcący poparł Kazika.

Klemens Janowicz, jak często lubił powtarzać ich nowy szef baterii, popatrzył na Julcia jak na pozłacany nocnik.

— Nie wiem tylko, cholera, w jakiej chacie, ale jak przejdziemy całą wieś, to i znajdziemy. Przecie w piwnicy wesela nie robią — mówiąc to Kazik przyspieszył kroku.

Kanonierzy poprawili wintowki, jak często z ruska nazywali swoje karabiny, i radzi nie radzi ruszyli za swoim kapralem.

Nie przeszli i połowy wioski, gdy usłyszeli orkiestrę i zobaczyli czerwony piętrowy dom jasno oświetlony. To stąd dolatywała do nich muzyka, głośny bęben i płaczliwa harmonia. Stojąc już przed furtką, spostrzegli na ganku jakiegoś człowieka. Po chwili poznali w nim sołtysa. Kogo jak kogo, ale sołtysa znali dobrze, bo ileż to razy przydzielał ich do roboty u osadników.

— Dobry wieczór, wodzu wsi! — krzyknął rezolutnie Kazik.

— Dobry wieczór, panowie! — odpowiedział wyraźnie ucieszony sołtys. — A prosimy do środka i chociażem nie gospodarz, myślę, że wszyscy wezmą to sobie zaszczytnie — mówił do nich z serdecznością i już brał pod rękę Kazika. — Jako sołtys miałem dotąd kilka urodzin, były nawet pogrzeby, wreszcie doczekałem się weseliska. Co to byłoby ze mnie za sołtys, gdybym nie miał wesela we wsi — skończył z dumą.

Dzięki temu serdecznemu przywitaniu u Juliana Markieły i Klemensa Janowicza krępacja jakby zniknęła. Zadowoleni weszli za sołtysem i Kazimierzem Naftą.

Prawdziwe były słowa sołtysa, przyjęto ich z wielkim sercem, a najbardziej rodzice młodej pary, już dobrze podchmieleni, zwłaszcza ojciec panny młodej, który od razu zaczął wykrzykiwać, że na weselu są na wieczną rzecz pamiątkę prawdziwi polscy żołnierze, co wrócili z samiuteńskiego Berlina. Usadowiono wszystkich trzech na miejscu honorowym, w ogromnej nowiuteńskiej ławie kościelnej, wypożyczonej z kościoła. Na tej ławie były jakieś złote napisy niemieckie, o których sołtys powiedział, że to nazwiska ważnych grafów, co mieli ten majątek, na którym gospodarzy teraz bateria. Jak tylko rozsiedli się wszyscy trzej (a trzeba powiedzieć, że przyszło to im z pewnym trudem, byli przecież w płaszczach i karabiny na plecach przeszkadzały), zaraz zaczęto pić ich zdrowie. Pierwszy toast na żołnierską cześć

wygłosił sołtys, po którego mowie poznali, że on bardziej uczony niż inni.

— Zdrowie naszych bliskich sercu wyzwoli-  
cieli i dobrodziejów, co to i wyzwali nas  
z niewoli, a nie dalej jak tydzień temu sianko  
nam też pomogli zebrać!

Rozparli się w ławie kościelnej, pili i jedli  
wszyscy trzej wielce zadowoleni. Ani Julcio  
Markieło, ani nawet Klemens Janowicz, nie  
myśleli już o tym, że ich kaprał, zwłaszcza po  
wódce i wśród ludzi, pokazywał często swój  
wredny charakter. Już drugi raz przypijała  
do nich młoda para, inni też patrzyli, aby  
stuknąć się z żołnierzami, każdy był honorowy  
i chciał wypić żołnierskie zdrowie z osobna.  
Przez pół godziny wypili kanonierzy kilkana-  
ście sporych kieliszków, jakie bywały na wsi  
w pierwszych miesiącach po wojnie. Najwię-  
cej jednak łyknął Kazik Nafta, bo był przecież  
najstarszy szarżą i pić lubił jak czort jaki.  
Wreszcie zaczęli też zagryzać, a było tu sporo  
mięsa różnego, tyle tylko że jak wszędzie nie  
dosolonego, bo o sól nie było łatwo. Przed mło-  
dą parą stał wielki tort, a dalej czarne ciasto  
z syropem przekładane serem, obok na talerzu  
cykoria z przypalanych buraków. Naszym żoł-  
nierzom do wódki wystarczyło jednak mięso  
i chleb, choć gliniastowodnisty, dał się jeść, bo  
już gorszy jedli na wojnie. Julcio Markieło  
w pewnej chwili z trudem przełknął duży  
i tłusty kęs mięsa, więc zaraz popił kawą, ale  
skrzywił się niechętnie, bo kawa była z za



bardzo przypalonego jęczmienia. W tejże sekundzie pochyliła się w stronę Julcia rozradowana gruba matka panny młodej, już mocno podchmielona.

— Ja dopiero tera poznała pana po tym waszym skrzywieniu, panie żołnierzu!... — krzyknęła dusząc się ze śmiechu. — To pan żołnierz topił się na naszej łące i ledwo pana wyratowały mój chłop i Walek Szprycha! — Kobieta wstała, jakby chciała go dosięgnąć przez stół i uścisnąć, ale tracąc równowagę znowu usiadła. — Patrzta, taką samiuteńką pan żołnierz miał gębę na łące!!...

Najbliżej siedzący zaczęli dopytywać się, o co chodzi. Julcio, choć był w wojennych sprawach odważny, teraz stuprocentowo czuł się nijako, bo też nie umiał nic babie odpowiedzieć. Nie patrząc na nikogo, wziął sobie największy i najtłustszy kawałek — a że kawałek był najtłustszy, zobaczył to dopiero na swoim talerzu. Co miał robić? Wyciągnął z munduru woreczek z solą, który zawsze nosił przy sobie. Gruba matka panny młodej w jednej chwili zapomniała, co ją tak rozśmieszyło, zdziwiona wpatrywała się w małego żołnierza. Zobaczył to jej patrzenie Julcio i zaraz powrócił do niego jego własny rezon:

— Co się tak, matko, patrzycie... Sobie bym przecie nie sypał trucizny, w szczególności teraz, kiedy już po wojnie. Spróbujcie śmiało, matuchno... Jejbohu, ja nie breszę — zapomniał się, z wołyńska zaklinając.

Kobieta wzięła nieśmiało woreczek z rąk kanoniera, który teraz na nią, zdziwioną i jakby przestraszoną, patrzył z nie byle jakim zadowoleniem. Nieśmiało nadziała delikatnie białe ziarenko na paznokiec i spróbowała.

— Też to najzwyczajniejsza sól!!! — wykrzyknęła.

Sól zaczęto podawać wzdłuż stołu i wszyscy soląc, wskazywali malutkiego żołnierza, który siedział zadowolony, pełny dumy po same brzegi swojej małej osoby. Tak oto najzwyczajniejsza sól uchroniła od pośmiewiska, jakie wokół skromnej osoby Julcia jak raz miałoby miejsce. Ktoś krzyknął, że w nagrodę dzielnemu żołnierzowi należy się taniec, i zaraz gruba matka panny młodej wyciągnęła go z kościelno-grafowskiej ławy. Kazik Nafta tańczył z pannenką z długim warkoczem. Janowicz zatańczył z długą a chudą jak szczapa kobietą, która siedziała obok panny młodej. Tak usilnie wpatrywała się w niego, że chcąc być delikatnym, musiał ją poprosić do tańca. Wszyscy tańczyli w płaszczach i z karabinami na plecach, kiedy więc wrócili do ławy, spoceni byli jak myszy. Zaraz podszedł do nich jeden z biesiadników.

— A zdejmijta te pukawki — powiedział.

— My na służbie — mruknął Janowicz.

— Ale płaszcze zdjąć by panowie mogli.

— Spocita się jak szczury! — zaśmiała się matka panny młodej.

Julian Markieło, parujący po tańcu jak w

wołyńskiej łaźni, poruszył się, jakby szykował się do zdjęcia karabinu i płaszcza.

— W takim ubraniu hadkim i połatanym ty chcesz, Julcio, tutaj siedzieć? — szepnął mu do ucha Klemens Janowicz. — Toby i dziad, co chodzi po żebraniu, nie usiadł tak ubrany na weselu.

Julian Markieło rozdziawił gębę i zaraz zrozumiał. Tak, to prawda, byli w wybrudzonych i połatanych mundurach, a mundur jego jeszcze gorszy od Klimkowego. Opuścił Julcio smętnie głowę, bo wiedział, że gdzie jak gdzie, ale na weselu w brudnym i połatanym ubraniu nie będzie siedział człowiek honorowy. A przecież oni, polscy żołnierze, musieli trzymać fason, szczególnie przed cywilami. Popatrzył z wdzięcznością na Klimka. To on od sromoty wielkiej go uratował. Jak na nie-szczęście gruba matka panny młodej znowu poprosiła Julcia. Wyraźnie na niego leciała, bo do grubych i wielgachnych zawsze Julcio miał szczęście, co się nazywa nieszczęściem. I właśnie gdy z tą grubą po raz któryś męczył się w tańcu, stało się to najgorsze.

Jak się kapral Kazik Nafta spóźnił i już nie było wolnych panien ani kobiet (a spóźnił się raz za razem, bo z ławy kościelnej przy panie młodej daleko miał do panien siedzących rządkiem w drugim końcu sali), wtedy odbijał co ładniejszą już tańczącą, bo prawdę mówiąc, cały czas był zwyczaj odbijania na tym weselu. I byłoby zwyczajne i normalne to odbi-



janie, ale Kazik nie był wcale sprawiedliwy — kiedy sam tańczył i jemu chcieli odbić, on ani razu nie oddał swojej panienki. Jeden młody osadnik z wąsikiem przywodził Kazika Naftę, który mu zawsze zabierał zgrabną pannę z długim warkoczem, być może, nawet jego narzeczoną. Kiedy więc Kazik tańczył z tą panienką, osadnik chciał sprawiedliwie jemu też odbić, Kazik Nafta był jednak niesprawiedliwy i panny nie dał. Wtedy osadnik krzyknął coś ze złością, na co Kazik wyzwał go najgorszymi ruskimi przekleństwami. Ten z wąsikiem był jednak uparty i siłą ciągnął swoją pannę. Kiedy Kazik Nafta dał w gębę osadnikowi z wąsikiem, rzuciło się na niego kilkunastu mężczyzn. I od tego się zaczęło, a skończyło się na tym, że całe wesele się rozbiegło.

Stoją na drugi dzień rano na zbiorce baterii i spać się im chce nielicho. Mija pół godziny i ciągle nie ma ani kapitana Arszenki, ani żadnego innego oficera. Minęło jeszcze dziesięć minut i dopiero przyszli. Byli z kobietami ze wsi i zaraz nasi kanonierzy i kapral, wszyscy poznali, że to te z wesela. Duża, gruba matka panny młodej, która tańczyła z Julciem, i druga, sucha i długa jak tyka jej siostra, z którą męczył się w tańcu Klemens Janowicz. Była też panna młoda, którą pewnie obie przyciągnęły siłą, bo się chowała za plecami matki i ciotki. Ot, i nie trudno było się domyślić,

że ich dowódca kapitan Arszenko jest zły jak sam Lucyfer. Matka panny młodej powiedziała niby to do kapitana, ale tak, żeby słyszała jej gadanie cała bateria:

— Panie kapitanie, my wszyscy wdzięczni, że żołnierze nam w gospodarce pomagali, ale trzech taką przykrość zrobiło wczoraj na weselu naszej jedynaczki...

Kapitan Arszenko ruszył do kanonierów stojących w dwuszeregu. Rozkazał, aby pierwszy rząd zrobił pięć kroków do przodu.

— Panie kapitanie, oni przez tę bójkę wszystko nam pobili i jadła tyle zmarnowało się, a my biedni...

Matka panny młodej chciała jeszcze coś powiedzieć, ale w tejże chwili zwrócił się do niej kapitan Arszenko i syknął:

— Pożałujsta, smotrytie, zdziesli etyje bradiagi?!!! — Dowódca baterii wściekle krzyczał jeszcze i o tym, że mają te bradiagi szczęście, że już po wojnie, bo inaczej oddałby ich pod sąd polowy.

Teraz zrobiło się Julianowi Markiele i Klemensowi Janowiczowi najparszywiej, jak tylko mogło być parszywie, a i wrednie im było, jak nigdy dotąd w całuteńkim ich życiu. Ta wredność i parszywość brała się nie od rugania ich od najgorszych przez ruskiego kapitana, którego lubili i szanowali, a całkiem od czego innego. Te dwa babsztyłe podeszły do stojących w szeregu kanonierów i zaczęły po kolei w każdego wlepiać swoje oczy jak w ja-

kie potwory. A najgorsza była ta gruba, z którą Julcio tańczył. To ona wytrzeszczała na niego oczy, niczym stwór z najgłębszego dna, i zaczęła go oglądać, jakby naprawdę jakie nieboskie stworzenie. Spuścił Julcio głowę, bo mu wstrętnie robiło się od jej patrzenia. Wiedział, że pozna go od razu, na weselu siedział z nią przecież nos w nos i tańczył pierś w pierś, bo na niego parła. I tak trzymał głowę mocno spuszczoną, choć już dawno nie było jej przy nim. Kazik Nafta, do którego po chwili podeszła, choć był najbardziej winny, wyszeptał jej do ucha zaślinione i obraźliwe słowo, więc odskoczyła od niego jak oparzona. Kiedy już obie kobiety obeszły wszystkich kanonierów jak jakie zwierzęta na targu, Markieło i Janowicz wiedzieli, że już po wszystkim. Tylko Kazik Nafta pewnie o niczym nie myślał, bo on już był taki, że mu na niczym nie zależało.

Teraz jak na komendę zaczęło się pokazywanie. Gruba matka panny młodej pokazała najpierw Kazika Naftę, i nie patrząc na niego, płaczliwie zasyczała, że i teraz na oczach pana kapitana, żołnierz ten przeraźliwie ją obraził. Po chwili wytknęła Julcia Markiełę, jakby przy tym nieznacznie a i przymilnie uśmiechając się do niego jak wczoraj w tańcu, ale Juciowi jej przymilność była teraz jeszcze bardziej nie w smak; na myśl, że jego sobie właśnie wczoraj upodobała, zapiekło coś w środku jego niedużej osoby. Sucha jak szczapa ciotka panny młodej pokazała Klemensa Janowicza; to wła-



śnie z tą tyką on wczoraj tańczył. Tylko panna młoda stała wciąż zarumieniona, jakby się przez cały czas wstydziła i nie miała odwagi nawet porządnie spojrzeć na baterię.

Tak to za pierwsze wesele po wojnie, które było pierwszym weselem w Bobrzyńsku, oberwało im się porządnie. Kazik Nafta dostał dwa tygodnie ścisłego, bo kapitan doliczył mu obrazę matki panny młodej na jego oczach, Klemensowi Janowiczowi dał siedem dni, a Julciowi Markiele pięć.

— Dlaczego ja dostał mniej aresztu od ciebie? — Julcio szepnął usprawiedliwiając do Klimka. — Przecie ja jej nie przeproszał i nie mniej winowaty?

Janowicz spojrzał zamyślony na Julcia, zaraz jednak uśmiechnął się dobrodusznie.

— Tyż widział, jak ta gruba i teraz miłośnie wpatrywała się w ciebie? — odpowiedział.

Julcio milczał, wykrzywił tylko paskudnie swoją zawsze pogodną twarz, jakby nagle przełknął coś bardzo gorzkiego.

Po niedługim czasie kapral Kazimierz Nafta został zwykłym kanonierem i wszyscy łączyli to z weselem, na którym narozrabiał. Kanik Nafta, który naprawdę był narwańcem, nie nadawał się już na dobrego żołnierza po wojnie, bo nie mając hitlerowców, własną wredność pokazywał przed swoimi.

## Zofia Janowiczowa przyjeżdża do baterii

Zofia Janowiczowa przyjechała na Zachód jednym z pierwszych transportów. Razem ze swoją przyjaciółką wysiadła w dawnych Prusach Wschodnich i zajęła tam gospodarkę. Napisała zaraz do Bobrzyńska powiadamiając Klimka, że zamieszkała już na nowym miejscu w olsztyńskiej wsi, skąd nawet do samej Warszawy nie jest daleko. Janowicz odpowiedział jej prosząc, aby jak najdokładniej opisała zajęta gospodarkę. Z drugiego listu swojej Zośki dowiedział się, że mieszka ona we wspólnym domu z jeszcze jedną kobietą, a budynkiem gospodarskim jest tylko mały chlewik, bo duża murowana stodoła i prawdziwy chlew zostały spalone. Na list jej z wściekłością odpisał, że takie gospodarstwo to on ma gdzieś i nie dlatego krew przelewał, żeby po wojnie dziadem być we wsi. A że był akuratny, zaraz też dobawił, że jeśli po babsku będzie się upierać, to niech do końca życia sama siedzi w jakichś tam Prusach, a do śmierci nie zobaczy

jego na oczy. Dodał jeszcze kilka mocnych słów, bo choć był z natury łagodny, jak go coś rozsierdziło, potrafił się postawić przed ludźmi, a co dopiero przed własną kobietą. Kiedy dokładnie złożył list w trójkąt, serce mu znowu zmiękło, bo przecież tęsknił przez tyle czasu za prawowitą ślubną, więc znowu list rozłożył. Dopisał już spokojnie, że na zachodzie, gdzie stoi ich bateria, jest wiele dobrych gospodarzy i już nawet kilka najlepszych do wyboru upatrzył sam dla siebie. Ale po chwili znowu poniosła go złość, więc głośno skłął swoją Zośkę. Musiał być twardy wedle gospodarki, bo wiedział, że gdzie usiądzie, tam już pozostanie do samej śmierci. Klemens Janowicz, który przedtem ze swojej wołyńskiej wsi nosa nie wychylał dalej niż do najbliższego miasteczka, w czasie wojny zobaczył trochę świata i domem do spółki zajęty, bez chlewa i stodoły nie mogła zadowolić się jego gospodarska natura. Takiej odpowiedzi pisemnej zlekła się Janowiczowa; zaraz też pomyślała, że może ten wojenny daleki świat przewrócił w głowie jej Klimkowi, i bojąc się, że go utraci, nawet bez zawiadomienia zaraz wybrała się do Bobrzyńska.

Janowiczowa dojechała bydlęcymi wagonami do miasta niedaleko od Bobrzyńska. Dalej jednak nie było żadnego połączenia, więc wyruszyła pieszo, bo powiedziano jej, że z miasta do Bobrzyńska tylko piętnaście kilometrów. Ucieszyła się tą wiadomością, bo ona na Wo-



łyniu na odpust potrafiła chodzić i trzydzieści kilometrów. Nie doszła jednak tego dnia do Klimka, a jak to się stało, nie mogła pojąć. Wyszła przecież we wskazaną przez ludzi stronę, a po kilku godzinach znowu znalazła się w tym samym mieście, tyle że w innej jego części. Przeszła przez całe miasto i znowu wyruszyła. Wykalkulowała, że jak teraz nie zabłądzi, to i tak wieczorem będzie na miejscu. Idąc poznawała te same jabłonki i wiśnie i dziwiła się ludziom, co drzewa wysadzili tak bezpańsko dla wszystkich przy niczyjej drodze. Rozpacz Zofii Janowiczowej była nie do opisania, kiedy już o zmroku, nielecho przemęczona, przekonała się, że światła przed nią — to wcale nie Bobrzyńsko. Po raz drugi znalazła się w mieście, z którego dwa razy wychodziła. Przez chwilę pomyślała ze strachem, że to sprawa Lucypera albo jakichś dziwnych czarów. Ledwo powłócząc nogami, doszła do Urzędu Repatriacyjnego i tam przenocowała w jednej izbie razem z innymi kobietami.

Na drugi dzień raniutko wyszła znowu za miasto. Stała na drodze prowadzącej do Bobrzyńska i już miała swój plan. Zaklinała się w myśli, że sama nie ruszy, choćby miała tak stać cały dzień. I prawie tak było. Dopiero późno po południu wzięła ją wojskowa ciężarówka. Sympatyczny żołnierz blondynek, ciągnąc z wileńska, powiedział, że właśnie będzie przejeżdżał przez Bobrzyńsko, więc tam ją wysadzi, bo sam jedzie jeszcze dalej. Tak,

w Bobrzyńsku gospodarzy wojsko, ale jakie, piechota to czy artyleria, tego nie wie. Wie tylko, że mają konie, ale teraz wszyscy żołnierze, którzy gospodarzą, mają konie. Janowiczowa upierała się, że to musi być artyleria, ale żołnierz nie przypominał sobie, czy widział u nich armaty. Nareszcie kiedy już zrozumiał, że kobiecina zmartwiła się nielecho, pocieszył ją, że może to artyleria, a że armat nie ma na widoku, to zwyczajne, bo nikt specjalnie nie wystawia takich rzeczy do oglądania, najpewniej stoją gdzieś między budynkami. Te ostatnie słowa uspokoiły ją trochę, jednak odtąd już do samego Bobrzyńska jechała markotna. Ledwie kilka razy z grzeczności odezwiała się do żołnierza, zapytała, skąd jest, choć i sama po mowie poznała, że to Wilniuk. Potem pytała, czy on, tak samo jak jej Klimek, doszedł do samiu-teńkiego Berlina. Żołnierz odpowiedział na to ze smutkiem, że jego rocznika nie zdążyli już wysłać na front, bo wojna akurat się skończyła. Zdziwiła się, jak może ktoś martwić się zakończeniem wojny. Tak pomyślała, ale nic nie powiedziała, bo wjeżdżali już w pierwsze zabudowania wsi, o której młody Wilniuk powiedział, że to Bobrzyńsko.

— Niedaleko stąd majątkowy pałac zajmuje wojsko.

Z radosną niecierpliwością stanęła Zofia Janowiczowa przed wartownikiem w bramie bobrzyńskiego majątku.

— Dzień dobry! — prawie wykrzyknęła. —  
Ja do mego, znaczy się, do Klimka Janowicza!

— Niedawno przyszedłem do baterii i nie  
znam takiego — odpowiedział wartownik. —  
Jaki pluton? — zapytał, zagradzając drogę na-  
pierającej na niego kobiecie.

— A bo ja wiem, z jakiego on tam waszego  
plutonu? Czy ja wojskowa, żeby się na tym  
wyznawać? Wiem tyle, że on mój jeszcze  
sprzed wojny i tutaj stoi wojskowym... Kle-  
mens Janowicz — trajkotała. — Aha, on ka-  
nonier!

— Tu wszyscy kanonierzy — uśmiechając  
się, odpowiedział wartownik.

W tejże sekundzie przystanął przy nich mło-  
dy oficer.

— Dzień dobry pani... Jestem chorąży Sto-  
kroń... To właśnie kanonier z mego plutonu  
— powiedział jakby i do Janowiczowej, i do  
żołnierza na warcie.

Wartownik zaraz poweselał, bo najwidocz-  
niej ucieszył się, że będzie miał z głowy ko-  
bietę, z którą nie bardzo wiedział, co ma robić.

— Chwileczkę proszę zaczekać — elegan-  
ckim tonem zwrócił się oficer do Janowicz-  
owej. — Byłem dziesięć dni na urlopie, właśnie  
w tej chwili wracam i nie wiem, co robią moi  
kanonierzy. — Chorąży odwrócił się w stronę  
budynku pałacowego, przed którym stała grup-  
ka żołnierzy. — Hej tam, kanonier Markieło,  
chodźcie do mnie! — krzyknął.

Z grupy żołnierzy wyskoczył mały żołnie-



rzyk wyglądający na chłopczyka, choć kiedy zbliżył się, Janowiczowa poznała po jego twarzy, że on już nie taki młody i ma swoje lata. Malutki żołnierz wciąż nie mógł pohamować śmiechu.

— A czemu to wam, kanonier, tak śmieszno?

— A bo wie obywatel chorąży, jak to u nas. Raz smutno, raz wesoło. Zeszły tydzień był smutny, to ten musowo ma być wesoły. Siedem krów chudych i siedem tłustych, jak gada nasz szef baterii — rezolutnie trajkotał mały żołnierz.

— Oj, Markieło, kiedy ja was... Zaprowadźcie panią Janowiczową do jej męża — powiedział oficer i odszedł.

Julcio Markieło rozdziawił naraz gębę od ucha do ucha, jakby teraz dopiero zrozumiał coś bardzo ważnego.

— Znaczy się, pani to żona naszego Klimka? — powiedział ze zdziwieniem i wyraźną nie-  
wiarą.

— Pan Markieło? Pan Julcio, zdaje się? Klimko pisał... To co, zaprowadzi mnie pan do niego?

Twarz Julcia wykrzywiła się w jednej sekundzie, jakby nagle zobaczył on samego czorta rogatego. Takiej twarzy nikt u niego nie widział, nawet w najgorszym piekle wojennym, bo nigdy Julcio nie potrafił mieć poważnej miny, nawet w największym strachu. Kobieta patrzyła ze zdziwieniem na bladego jak mar-

mur i znieruchomiłego jak kamień żołnierza, o którego wesołości tyle pisał jej Klimko. Julcio zaczął rozlądać się nieznacznie wokoło siebie, jakby szykował się do ucieczki albo wypatrywał, gdzie się schować. Janowiczowa zrobiła krok w jego stronę, ale żołnierz dalej stał ani drgnąwszy, jak słup wkopany w ziemię. Jego oczy powiększyły się tak bardzo, że już całkiem nie pasowały do małej twarzy. Zofię Janowiczową w jednej chwili naszły złe przeczucia.

— Zaprowadzi mnie pan do Klimka? — znowu poprosiła.

Julcio Markieło, zawsze tak odważny we wszystkich wojennych i cywilnych sprawach, teraz ze strachu nie mógł zrobić kroku.

— A może co złego spotkało mego? — drżącym głosem dopytywała się Janowiczowa.

Julcio mruknął zaprzeczająco, ale nie wyraźnie nie powiedział.

— Przecież ja miała od niego list, nie daleko jak tydzień temu? — szybko pocieszała się, dusząc w sobie złe przeczucia.

— Nie, nie, to nie to... Klimko zdrowy jak koń... — jąkał się Julcio. — Nic się jemu złego nie stało... Tyle że...

— Że co...? — podchwyciła strapiona kobieta.

— A nic, nic... Tak prawdę powiedziawszy, to po prawdzie nic... — mruknął bezradnie i ruszył w stronę pałacu.

Janowiczowa szła za nim i ledwo nadążała, choć była sporą i zdrową kobietą, a on w przeciwieństwie do niej chuchro. Julcio szedł coraz szybciej, prawie już biegł, jakby za wszelką cenę nie chciał, aby kobieta z nim się zrównała. W głowie Janowiczowej kotłowało się od czarnych myśli, które stawały się z każdym krokiem czarniejsze. Teraz i ona prawie biegła za żołnierzem, bojąc się, że ten ucieknie. Na szczęście dobrnęli już do pałacu.

W izbie, do której weszli, bombardier Wendyk tłumaczył coś młodemu żołnierzowi. Janowiczowa zatrzymując się na środku pokoju pilnie przyglądała się nowym żołnierzom, jakby chcąc w którymś z nich poznać swego. Po chwili odwróciła straszliwie złe oczy na Julcia Markietę.

— Ta pani to żona naszego Klimka — cicho wyjaśnił Julcio. — To właśnie jego łóżko! — wskazał ręką.

Janowiczowa milczała, oczekując dalszych wyjaśnień. Zdaje się, że bombardier Wendyk dopiero teraz zrozumiał całą hadkość, jaka z tego wszystkiego może być. Próbując patrzeć odważnie na kobietę, podrapał się po głowie, jakby nad czymś mocno zaczął rozmyślać. Patrzył z powagą i szykował się do mówienia. Julcio podbiegł do jednego z łóżek.

— O, tutaj są nawet... plecak i brusek do jego kosy... — Schylił się i wyciągnął spod łóżka worek. — To Klimkowe, trofiejne, su-



kienki różnorakie... — powiedział nieśmiało, podnosząc głowę.

— Gdzie jest Klimko?! — wykrzyknęła Janowiczowa, nie panując nad nerwami. — Czy żywy i zdrowy? — w sekundzie zmiękła pochlipując.

— A jakże, najżywszy ze wszystkich stworzeń żyjących, i zdrowszy od najzdrowszego żołnierza całej Pierwszej Armii — powiedział bombardier Wendyk uśmiechając się przymilnie.

— To ja jego chcę zobaczyć — dziwnie spokojnie poprosiła kobieta. — A może on uciekł przede mną? Toż ja tak się o niego martwiła całą wojnę...

— E, co też pani mówi, jakby nie znała naszego Klimka... On nie uciekł, tylko nie mógł tutaj teraz akuratnie być. No bo skąd mógł wiedzieć, że pani w ten czas przyjedzie — uspokajał kobietę Wendyk. — A zobaczyć jego teraz nie proste, bo wojsko, trzeba wiedzieć, ma swoje prawa... — zająknął się.

— Może kapitan Arszenko pozwoli — zapisał Julcio za plecami Janowiczowej.

— Nie mieszaj ty w to kapitana! — zgromił go bombardier Wendyk.

— Ja chciałaby rozmawiać z kapitanem! — z nadzieją podchwyciła kobieta.

— No to może, jeśli taka wola, ty by, Julcio, zaprowadził... — przeciągając słowa mówił Wendyk, ale nie skończył, bo w tej chwili

skrzypnęły drzwi i nawet śladu nie zostało w izbie po Julciu Markiele.

— Ja chciałaby rozmawiać z kapitanem! — powtórzyła rozkazująco Janowiczowa.

Bombardier Wendyk, jak czort wściekły na Julcia, rad nie rad, poprowadził Janowiczową do kapitana Arszenki. Znowu przechodząc przez dziedziniec pałacowy zachodziła w głowę zbaraniała kobieta, co się takiego mogło stać z jej Klimkiem. Nikt nie chce nic mówić, wszyscy robią tylko jakieś dziwaczne miny. Znowu uspokajała siebie, że gdyby jej Klimkowi, nie daj Boże, przytrafiło się nieszczęście, całkiem inaczej zachowywaliby się żołnierze. Po drodze mijali kanonierów robiących przy wozach drabiniastych, przy żniwiarkach i koniach; wszyscy rozebrani do koszuli, bo dzień był parny i duszny. W równorakich koszulach żołnierze wyglądali jak najzwyczajniejsi w świecie cywile. I to na moment odwróciło Janowiczową od trapiących myśli.

— Nigdy by ja nie pomyślała, że to wojsko — zdziwiła się głośno. — I armat tu nijakich nie widać.

— Bo my już po wojnie — odpowiedział Wendyk wcale nie zbity z pantałyku. — My teraz nie wojujęm, a gospodarzym.

W kancelarii sztabu pisarz, wysłuchawszy Wendyka, posadził Janowiczową żonę w ogromnym fotelu, a sam poszedł zameldować kapitanowi Arszence. Zaraz też wszedł do dowódcy

bombardier Wendyk i po pięciu minutach wyszedł, trzymając w ręku jakiś świstek.

— Pójdziemy do Klimka — powiedział dziwnie smętnym głosem.

Janowiczowa ruszyła za nim. Nie pytała o nic, szczęśliwa, że nareszcie zobaczy swego. Jak prowadzą do Klimka, znaczy się, że on żyje. To było teraz dla niej najważniejsze.

Nie minęło i dziesięć minut, a byli już w pałacu, tyle że z innej strony. Wendyk dał papieraś żołnierzowi stojącemu w korytarzu, a ten ogromnym kluczem otworzył pierwsze z brzegu drzwi. Janowicz leżał na pryczy zbitej z desek i palił papierosa. Nie miał na sobie pasa, a buty bez sznurówek stały w kącie. Zofia Janowiczowa w mig zrozumiała, w czym rzecz, i widząc, że taka to przyczyna ich tajemniczości, obłąpiła radośnie szyję swego Klimka. Całując ścisnęła go z całej swojej, jak na kobietę, niemałej siły. Śmiała się przy tym wniebogłose, jak to tylko niewiasty z bezmyślności śmiać się umieją. Radość jej, to trzeba przyznać, była wielka, bo znowu miała swego męża, którego nie widziała prawie dwa lata, a który już nareszcie zakończył wojnę. Klemens Janowicz, zdurniały nielicho, zrazu nie bronił się przed żoniną serdecznością, ale po chwili oprzytomniawszy ze zdziwienia, wyrwał się z jej obejmowań. Szukał rozwścieczonym wzrokiem Bronka Wendyka, który akurat już otwierał drzwi, bo był delikatny



i nie chciał przyglądać się cudzej pieszczotliwości. Janowicz zdążył go jednak dopaść na korytarzu i potrząsnąć porządnie całą jego bombardierską osobą.

— Kibinie materi! — zaklął Janowicz. — Jak ty mógł zrobić taką hadkość!!! — zasyczał wściekle w jego twarz.

Bronek Wendyk wyrwał się z Klimkowych łap i pędem wybiegł z pałacu.

— Czekaj ty, parszywy!!! — wściekał się po swojemu Janowicz, odtrącając Zośkę, która z pochlipywaniem uwieszała się jego ramienia. — Taką hadkość zrobił!... A ty po co wpuszczał?! — nie mając już przed sobą Bronka, złość wyładowywał na wartowniku.

Wartownik wzruszył tylko ramionami i odwrócił się plecami.

— Ty mnie odpychasz, choć my się nie widzieli cały wiek... Może ty znalazł jaką Niemkę...! — miłośnie skarżyła się Zośka. — A ja głupia, tak się martwiła, jak ty był na wojnie, i teraz tyle drogi jechała, żeby ciebie nareszcie zobaczyć na własne oczy...

— Czy ty, Zośka, musiała akuratnie w taką porę przyjeżdżać? — powiedział do niej z wielką żalością w głosie. — Ty nigdy Boga nie miała w sercu.

Takie właśnie, a nie inne, było pierwsze po wojnie spotkanie kanoniera Janowicza z jego Zośką, którą na froncie tyle razy z tęsknotą przywoływał do siebie. Tak go piekła hańba

z powodu aresztu, że już nawet zapomniał o tej lichej gospodarce do spółki przez Zośkę zajętej, choć przedtem planował zrugać ją za to po bożemu.

Wartownik przyniósł pas i sznurówki i Klemens Janowicz był wolny. On z niewoli wyzwalał kraj, jego samego wyzwoliła własna żona. Ponury wracał z aresztu, bo wściekał się, że kobiecie to zawdzięcza. Zawsze przedtem była jakaś pilna robota i wcześniej wypuszczali, tylko teraz jak na złość siedział prawie do samego końca. Areszt przecież kończył się już na drugi dzień rano. Ciągłe nie mógł darować Wendykowi, że zrobił mu taką sromotę, przyprowadzając Zośkę do aresztu. Wiadomo, jak to kobieta, będzie to wszystko całe życie rozpamiętywać i jego wstyd po wsi roznosić. Przez cały dzień łypał wściekłym wzrokiem na Bronka Wendyka.

— Żeby ja jutra nie doczekał, że ja nie chciał — zaklinał się winowajca. — To ona się zaparła, że do ciebie i do ciebie, i to zaraz...

— A niechajby i poczekała do rana, to był już ostatni dzień.

— Twoja już myślała, że z tobą co złego — rozpaczliwie bronił się Wendyk. — Czy mieli my ją straszyć...? Co było robić...?

— Powiedzieć, że ja wyjechał i rano powrócę — przygwaźdżał go Janowicz.

Bronek Wendyk milczał, bo wiedział, jaki jest Klimko, i nie chciał go jeszcze bardziej

rozsierdzić. Pomyślał tylko, jak on nie zna swojej własnej kobiety, jeżeli myśli, że oni mogli z nią jakoś inaczej poradzić.

Zofia Janowiczowa dwa dni była w baterii i wszyscy widzieli, że Janowicz spaceruje z nią markotny, choć tyle czasu jej nie widział. Dopiero przy pożegnaniu, zobaczyli dobrze, uściskał ją zdrowo, jak przystało to zrobić ślubnemu.



## Śmierć konia po wojnie

Już od wielu tygodni gospodarzyli na setkach hektarów w bobrzyńskim poniemieckim majątku. Żołnierze, pochodzący ze wsi, oderwani od roli i zajęć gospodarskich, nareszcie wrócili do pracy, którą znali najlepiej. Wcale nie było dla nich ważne, że gospodarzyli nie na własnej ziemi. Wiedzieli, że ziemia jest ziemią, wymaga opieki i wtedy będzie dobrze rodzić, jak się o nią zadba. Ale co jak co, u nich ziemia zawsze była największym skarbem, więc potrafili się z nią obchodzić — a pracowali teraz i dlatego tym ochotniej, bo stali się przez to jakby bardziej wartościowi. Dla wołyńskich chłopów nie było już kaprali i oficerów, nie istnieli nawet dowódcy, teraz oni sami byli ważniejsi od najważniejszych szarży w baterii. Co mogli wiedzieć oficerowie o roli? Najważniejszy w baterii, ich dowódca kapitan Siergiej Aleksandrowicz Arszenko, nie potrafił nawet zaprząć konia do wozu i nic w tym dziwnego, bowiem przed

pójściem na front chodził on do technikum metalurgicznego i kto wie, czy przed wojną choć raz był na wsi.

Jako się rzekło, chodzili dumni chłopci wołyńscy, bo wiedzieli, że teraz w baterii nikt bez nich nie poradziłby. Dowódcom cierpliwie tłumaczyli sprawy gospodarskie, a miastowych, co się też zdarzali w plutonach, przeklinali na czym świat stoi. Niby takie cwaniaki, a pługą trzymać nie potrafią. Nic dziwnego, że nie umieją tego oficerowie, ale prości ludzie — nawet starsi od nich — nie rozróżniają nie tylko nasion rzepy od rzepaku, ale i owsa od jęczmienia, co potrafiły w ich wsi nawet pięcioletnie dzieci. Dotąd nie pomyśleli o tym, że mogą żyć na świecie inni prości ludzie i tego wszystkiego nie wiedzieć. Tak Bogiem a prawdą, cieszyli się nawet z tego, bo wreszcie byli górą nad cwaniakami miastowymi. I jak nie wypadało w sprawach gospodarskich zbytnio swojej wyższości pokazywać nad oficerami, tych z miasta nie żalowali i przy wszystkich sposobnościach urządzali im podstępny, aby przylapać na nieuctwie i mazgajstwie.

Klemens Janowicz, znany ze swej dokładności i pracowitości, całymi dniami przygotowywał narzędzia potrzebne do żniw, pucował i dogadzał koniom, bo wiedział, co je czeka, kiedy on sam założy zwierzęta do żniwiarki. Jak rzadko w swoim życiu, był teraz zadowolony i gdyby nie tęsknota za własnym domem

i własną gospodarką, czułby się w Bobrzyńsku jak w raju.

W tym okresie, gdy kanonierzy żyli zbliżającymi się pierwszymi po wojnie żniwami, któregoś dnia zrobiono niespodziewanie zbiórke baterii. Jako jeden z pierwszych od czoła w plutonie stał zwalisty i potężny kanonier Janowicz, a ostatni, ruchliwy jak bączek kanonier Markieło. Przed baterią stanął dowódca kapitan Arszenko z innymi oficerami, a obok dwóch cywilów, a raczej, sądząc po ubiorze, niedawno zdemobilizowanych wojskowych. Zaraz też pomyśleli kanonierzy, że to przyszli na odmianę miejscowi osadnicy, aby poznawać żołnierzy, którzy znowu narozrabiali we wsi. Niektórzy robili już rachunek sumienia z ostatnich dni. Tym razem jednak zupełnie nie o to chodziło. Najpierw przemówił kapitan Arszenko. Powiedział, że takich majątków poniemieckich i wsi jak Bobrzyńsko jest dużo na Pomorzu, a we wszystkich tych majątkach i wsiach nie ma komu i czym robić na roli, szczególnie bardzo niewiele jest koni.

— Ci towarzysze — mówiąc to wskazał dwóch obcych półcywili półwojskowych — to wójtowie z gmin naszego powiatu, przyjechali oni prosić żołnierzy o przyjacielską pomoc. A my, żołnierze, z chęcią pomożemy pracującemu ludowi.

Tak, mniej więcej, powiedział dowódca. Otóż dla pięciu wsi tych dwóch gmin potrzeba dwa-



dzieścia pięć par koni z wozami i dwudziestu pięciu, ma się rozumieć, kanonierów. Towarzy-sze wójtowie zapewniają jedzenie i wszelkie inne wygody, choć żołnierze tych wygód za wiele nie potrzebują.

W tym czasie, kiedy kapitan Arszenko przemawiał, panowie wójtowie patrzyli na kanonierów prosząco, choć po resztkach ich ubioru i postawie widać było, że sami do niedawna byli jeszcze oficerami. Kiedy dowódca baterii powiedział, aby zgłaszać się na ochotnika, nikt przez jakiś czas ani się poruszył w szeregach. I było to zrozumiałe, bo czyż mieli źle w Bobrzyńsku? No i żal im było zostawiać całą swoją pracę włożoną w przygotowania do żniw. Zresztą nigdy nie wiadomo, jak będzie w innym miejscu. W baterii czują się najlepiej, byli tu prawie ze wszystkimi przez całą wojnę i nie zginęli, to i teraz sobie poradzą.

Tak mniej więcej myślał również Klemens Janowicz. Minęło jeszcze kilka minut, a nikt nie zgłaszał się. Wtedy Janowicz spojrzał na swego przyjaciela, Julcia Markiełę. Zobaczył, że Julcio daje mu jakieś dziwne znaki, wierząc się przy tym w miejscu jak fryga. Po chwili zrozumiał bez słów. Julcio na migi gorąco namawiał Klimka do zgłoszenia się ochotniczo na wyjazd. Janowicz nie miał jednak zamiaru nigdzie jechać, bo koniecznie chciał zbierać tutaj żniwa. Nie zdążył jednak nawet kiwnąć przecząco głową, gdy zobaczył, że jego przyjaciel dziarskim krokiem drepcze w stronę pa-

nów wójtów. Przez minutę wesoło szemrano w szeregach, bo już samo oglądanie podrygującego Julcia Markieły powodowało śmiech, a co dopiero myśl o tym, jaki to będzie z niego Samson z kosą. Wiedział Janowicz, zły straszliwie, że nie ma już ratunku. Powoli, lekko przestępując z nogi na nogę, i on wystąpił. Za nim następni. Występowali teraz jeden za drugim, a nawet po kilku na raz. Okazało się, że jest ze czterdziestu ochotników, więc prawie połowa musiała wrócić do szeregów.

I tak oto ruszyło w drogę dwadzieścia pięć wozów zaprzężonych w parę koni i z jednym żołnierzem na furze. Na drodze ich przejazdu było miasto powiatowe, bo wioski, do których jechali, leżały na drugim końcu powiatu. Na dwie godziny zatrzymali się w tym mieście. Janowicza i Markiełę wraz z dwoma innymi kanonierami Łosiem i Dembskim oraz bombardierem Wendykiem wyznaczono do jednej wsi. Ale kiedy nadszedł czas ruszania w dalszą drogę, nie zjawił się Dembski. Nie wiedzieli, co się z nim stało, może zapił gdzieś, a może wydarzyło się coś jeszcze gorszego. Radzi nieradzi musieli jechać dalej, więc umieszcili się teraz jako ostatni w korowodzie wozów. Pustą furmankę wzięli w środek, ale konie, nie kierowane przez człowieka, co chwila to zwalniały tamując jazdę następnej furmanki, to znów przyśpieszały, wpadając na wóz przed nimi. Taka jazda była istną mordęgą. Zostali nawet sporo w tyle, co bardzo im

było nie na rękę, bo ze wszystkimi czuli się o wiele różniej. W pewnej chwili Janowicz, który jechał ostatnim wozem, krzyknął, żeby przystanęli.

— Te wojenne konie nie głupsze przecie od naszych wołyńskich — powiedział. — Będzie o wiele lepiej, jak para koni z pustą furmanką pójdzie ostatnia.

Tak też zrobili. Odtąd konie z pustą furmanką posłusznie szły za nimi.

Nie minęło i pół godziny, a podjechał do nich plutonowy na koniu i powiedział, że mają skręcić w lewo do wsi, do której zostali przeznaczeni. Skorzystali z tego, robiąc krótki postój na papierosa.

— Ja miał przed wojną konia, co mnie od kumów z drugiej wioski dwadzieścia kilometrów wiele razy pijaniuteńkiego, świata nie pamiętającego przywoził do domu — pochwalił się Klemens Janowicz.

Wszyscy roześmieli się głośno. Janowicz popatrzył na nich z taką miną, jakby się dziwił, dlaczego się śmieją.

— Koń to najmądrzejsze stworzenie na świecie i najbardziej ze wszystkich zwierząt rozumie człowieka — powiedział głosem poważnym, więc wszyscy umilkli.

— A może nie warto było wyjeżdżać z Bobrzyńska — po chwili odezwał się Olek Łoś. — Nie wiadomo, co nas czeka w tym Dubow.

— Dubow to po polsku Dubowo! — upom-



niał Łosia bombardier Wendyk, jakby ich wódca z racji swojej jednej belki.

Po wypaleniu papierosa ruszyli dalej.

Odtąd jechali już sami, ich czterech i pięć furmanek. Teraz ustawili przy sobie karabiny, opierając je o kolana, aby w razie czego broń była pod ręką. Jechali gęstym lasem, który nie wiadomo jak długo będzie się jeszcze ciągnąć, a w takim lesie nikt nie wie, jaki czort może być. Słyszeli przecież o esesmanach, którzy bali się niewoli. Julcio Markieło jechał pierwszą furmanką, bo choć służył w artylerii, snajperem także bywał tegim i celność w oku miał wielką. Każdemu wyznaczono zadanie. Julcio, jako jadący na przodzie, patrzył, co dzieje się przed nimi, drugi za nim, Wendyk, uważał na prawą stronę lasu, Olek Łoś wpatrywał się w las po lewej, a Janowicz jadący ostatni, pilnował tego, co dzieje się za nimi. Od jakiegoś czasu i bez tego przykazania coraz częściej niespokojnie zerkał za siebie, bo zaczynał go martwić jeden z koni idących w pustym wozie. Najpierw w pysku konia pojawiła się piana, potem zobaczył jego szklane i prawie znieruchomiałe, jakby mgłą zasłone, smutne oczy. Gniady ciągle zwalniał, więc i on wstrzymał konie, żeby pusta furmanka nie została za daleko. Pokrzykiwać zaczęli wszyscy trzej do Janowicza, ale on coraz bardziej zostawał w tyle ze swoją i pustą furmanką. Gdzieś w połowie drogi do Dubow, czyli do

Dubowa (wyczytali to z połamanych drogowskazów), przystanęli, aby dowiedzieć się, co dzieje się z Janowiczem. Kiedy nareszcie zbliżył się do nich, od razu wiedzieli, że coś jest nie w porządku. Janowicz zatrzymał swój wóz, zeskoczył i podbiegł do pustej furmanki. Zaczął pilnie z każdej strony oglądać gniadego, ale nie znalazł na jego ciele żadnej rany ani nic podejrzanego. A jednak koń ledwo trzymał się na nogach, wiercił się coraz niespokojniej, jakby chciał się położyć. Kiedy Janowicz z z troskaniem oglądał gniadego, podeszli wszyscy. Gniady już charczał, jakby się dusił.

— Nic mu nie będzie, to zaraz przejdzie — powiedział Janowicz, jakby chciał zagłuszyć złe przeczucia i charczenie gniadego.

— Przecież on zdycha! — wypalił Julcio.

Janowicz odwrócił się i spojrzał na niego tak nienawistnie, że gdyby patrzeć mogło zabijać, Julcio Markieło upadłby tak szybko, jak się pada po uderzeniu pioruna.

— Ty prędzej zdechniesz od niego! — syknął Janowicz i zaczął zdejmować z gniadego uzdę, i wyprzegać go z wozu, bo gdyby koń położył się zaprzężony, mógłby złamać dyszel. Po zdjęciu uprząży koń osunął się na ziemię. — Do jasnego czorta, nie stójcie jak na weselu!

Patrzyli bezradnie na konia, wiedząc, że to już koniec, tylko jeden Janowicz nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Zaczął gniademu masować boki, zaglądać w pysk i wciąż krzy-

czał, dlaczego stoją bezczynnie, choć nie mówił, co mają robić, bo sam dobrze wiedział, że nie ma tutaj już nic do roboty. Koń ciągle się męczył, z jego pyska wydobywało się coraz więcej piany.

— Trzeba go zastrzelić — powiedział Julcio.  
— Niech się nie męczy — dopowiedział usprawiedliwiająco.

Julcio Markieło popatrzył na Bronka Wendyka, oczekując od niego potwierdzenia swoich słów. Zanim zdążył odezwać się Wendyk, Janowicz dusił już za gardło Julcia. Skoczył na niego tak szybko, że nikt w tym czasie nie zdążył zrobić najmniejszego ruchu. Nie zdążył też od Klimkowych łap wywinąć się Julcio, choć był najsprytniejszy z nich wszystkich. Julcio zaraz zacharczał, podobnie jak ten leżący koń. Wtedy Wendyk widząc, co się dzieje, rąbnął po karku Janowicza i zaraz poprawił, bo ten wciąż nie puszczał gardła Julcia. Olkowi Łosiowi wydawało się, że zaraz wyleżą Julciowi oczy. Wreszcie, po trzecim uderzeniu Janowicz puścił gardło Julcia Markieły i spojrzał na wszystkich zdziwiony, jakby sam już zapomniał, co się stało. Koń w dalszym ciągu charczał, zaczął wierzgać nogami, nie było to jednak konanie, cierpiał strasznie, ale miał jeszcze dużo siły.

— Robi się późno, a nam musowo przed wieczorem być na miejscu — powiedział Wendyk.

— Poczekajmy jeszcze z pół godziny — nie patrząc na nikogo poprosił Janowicz. — Prze-



cie lada dzień zaczną się żniwa, a tam ludzie czekają na konie jak na zbawienie.

Wszyscy trzej wiedzieli dobrze, że Janowiczowi żal przede wszystkim konia, bo miał on prawdziwie gospodarską naturę. Nie było nikogo w baterii, może prócz jednego felczera, kto znałby się tak dobrze na koniach, a już z pewnością nie było nikogo, kto by tak jak on kochał konie. Być może, ta miłość do koni brała się stąd, że nie miał on ich nigdy za dużo na gospodarce, na której konie zawsze były najważniejsze, bo bez nich nikt nie mógł być dobrym gospodarzem.

Spoglądali po sobie, unikając wzroku Janowicza, który jakby dopiero teraz wszystko zrozumiał i zszedł z szosy. Odchodząc spojrzał tylko przez ramię na Julcia biegnącego do swojej furmanki. Stał plecami do nich wszystkich i stał tak bez ruchu jak kamień albo słup. Stał tyłem do konia, który był taki piękny i mocny, a teraz leżał na drodze i charczał. Janowicz nie drgnął nawet wtedy, gdy usłyszał strzał. Dopiero po chwili podszedł do gniadego, spojrzał na niego, a potem podniósł głowę i powiedział:

— Trzeba go po ludzku pochować, bo życie miał wcale nie głupsze od niejednego człowieka.

Głos Klemensa Janowicza zabrzmiał sucho i twardo, jakby nie był jego własnym, śpiewnym głosem wołyńskim jak u nich wszystkich. Dobrze wiedzieli, że teraz musi stać się tak,

jak on chce, bo w przeciwnym wypadku będą tu stali nie wiadomo jak długo i czort jeden wie, co z tego jeszcze może wyniknąć. Mimo że byli już bardzo spóźnieni, wykopali na polu dół i pochowali tam gniadego. Wtedy dopiero ruszyli w dalszą drogę.

## Sprawiedliwość kanoniera Markiely

W Dubowie kanonierzy zamieszkali, podobnie jak w Bobrzyńsku, w starym pałacu, w którym mieściło się kiedyś nadleśnictwo. Sam pałac był zaniedbany i zniszczony, ale stajnie ostały się pierwszorzędne. I to było najważniejsze, bo dowiedzieli się od sołtysa w dniu przyjazdu, że ich zadanie będzie polegać głównie na doglądaniu koni, które mają wypożyczać gopodarzom. Bronek Wendyk, który z racji swojej jednej belki był wśród nich jakby najważniejszy, powiedział, że tego dziewiętego konia po Dembskim będą obrządzać po kolei wedle dyżuru. Na to Janowicz odezwał się w takie słowa:

— Jakże to tak, żeby ten koń miał być beapański i przechodził z rąk do rąk jak sierota? Ja na nim jakiś czas jeździł dyszlowym, to będę przy nim chodził, bo nawet, nie przymierzając, każdy pies ma swojego człowieka.

Rzecz jasna, nikt z nich nie zaprzeczył, wszyscy uradowali się, że znalazł się chętny



do większej roboty. Nikogo nie zdziwiło odezwanie się Klimka Janowicza, bo znali go dobrze i wiedzieli, że on robotę zawsze lubił jak największe przyjemności.

Już na trzeci dzień, jak było przedtem umówione, poszli na obiad do sołtysa. Zdziwili się, że sołtysowa jest ubrana z niemiecka, z chustką przewiazaną nad czołem, jak to robiła większość Niemek, które widzieli na froncie. Zrozumeli, jak im zaraz po przywitaniu powiedziała, że była na robotach u Niemców.

Kiedy sołtysowa postawiła zupę, wszyscy zwlekali, jakby tęsknie oglądali się jeszcze za czymś. Kobieta nie domyślając się niczego, wciąż zachęcała do jedzenia.

— Gospodyni, a nie macie wy w domu noża? — zapytał przemyślnie Julcio Markieło.

Sołtysowa popatrzyła z przestachem na żołnierzy, poszła jednak do kuchni i przyniosła nóż.

— Takim nożem można zarżnąć człowieka, ale najlepiej kroić nim chleb — znowu odezwał się Julcio i uśmiechnął się do niej znacząco.

Kobieta jeszcze nic nie rozumiała. Julcio Markieło zaczął łyżką przelewać zupę w talerzu, zupa była rzadka, gdzieś tam tylko pływał kawałek buraka. Mimo wysiłku swoich snajperskich oczu, nie znalazł w niej ani drobinki ziemniaka.

— Gospodyni, a nie macie wy w domu chleba? — zapytał Julcio ze złością, widząc, że

gospodyni i przez rok nie domyśli się, o co im chodzi.

Sołtysowa pobiegła i przyniosła ćwiartkę chleba. Z jej twarzy wciąż nie ustępowało zdziwienie.

— My wszyscy z Wołynia i nie zwyczajni jeść zupy bez chleba, bo zupą bez chleba człowiek nigdy się nie naje — głosem poważnym wyjaśnił Klemens Janowicz.

Sołtysowa stała przed nimi z miną, po której łatwo można było się domyślić, że nigdy nie słyszała ani o Wołyniu, ani o tym, że do zupy potrzebny jest chleb. Kiedy zjedli wodnistomdlawą zupę, kobieta przyniosła drugie danie. Rzadziutki gulasz z ziemniakami. Kanonierzy i tym razem nie zabierali się do jedzenia, jakby dalej na coś czekali.

— Ja tu widział na stole łyżki — znowu odezwał się Julian Markieło.

Pozostali potwierdzili jego słowa pomrukiwaniem potakującym. Kiedy żona sołtysa przyniosła łyżki, w mig zjedli drugie danie i wyszli stąd głodni, jak przyszli. Pomstowali na czym świat stoi, bo przecież dali sołtysowi worek mąki, wędzonkę i groch; pocieszali się jedynie tym, że kobieta nie zdążyła jeszcze upiec chleba. Julcio Markieło, pojękując z głodu, wypuścił się na wieś. Wiadomo, że każdy głodnego żołnierza nakarmi, zwłaszcza że głodny żołnierz, jak zobaczy coś do jedzenia, to nie zawsze pyta o pozwolenie — i taki żołnierz po ludzku jest w prawie. A kanonier

Markieło był sprawiedliwy jak jaki święty, może nawet nie jak święty, ale jeszcze sprawiedliwszy od świętego, jak po człowieczemu tylko człowiek sprawiedliwy być potrafi. Ot, jak Julian Markieło miał chleb lub co innego do jedzenia, wtedy dzielił się sprawiedliwie z innymi. To samo z tytoniem. Jeśli jednak zdarzyło się, że ktoś skąpy miał coś do jedzenia albo tytoń, a Julcio chciał jeść albo zapalić, wtedy bez pytania połowę zabierał. Taki był kanonier Julian Markieło i nikt złego słowa nie mógł na niego powiedzieć.

Po kilku dniach, a było to akurat wtedy, gdy sołtysowa powiedziała, że wszystko, co przywieźli, zostało już przez nich zjedzone, przyjechał do wsi wójt gminy, ten sam, który był w Bobrzyńsku przed ich wyjazdem.

— Panie wójcie, mieli my dostawać tu żywność — zagadnął wójta bombardier Wendyk.

Wójt, który postawą przypominał srogiego oficera, zaczepiony, mogliby przysiąc to wszyscy, popatrzył na nich jak na cywili.

— A cóż to, moi panowie, ja wam, znaczy się, mam gotowe gołąbki podawać do gąbki — odrzekł karcąco jak do dzieci. — Rozejrzyjcie się wokoło, a coś się tu i ówdzie na pewno znajdzie... Tylko pamiętajcie, sprawiedliwie, tyle, ile wam do przeżycia potrzeba, bo jak się dowiem, że ktoś dla handlu albo dla samogonu... Ja sam dla siebie muszę zdobywać żywność po wojskowemu. A i o koniach nie zapominajcie, dogadzając własnym żołądkom,



bo żniwa za pasem i roboty będzie wiele — dodał i odszedł, bo choć był już cywilem, długie gadanie uważał po wojskowemu za marnowanie czasu.

Tego, co powiedział wójt, dwa razy nie trzeba było im powtarzać. Najbardziej ucieszył się z jego podpowiedzi Julcio Markieło, bo wójt wypowiedział i jego sprawiedliwość. Tak po prawdzie to on już od pierwszej chwili przyjazdu do Dubowa wprowadzał na świecie sprawiedliwość. I dlatego któregoś dnia Klemens Janowicz przygadał mu, że nie godzi się ludziom podkradać.

— To przecie szwabskie — odpowiedział Julcio. — A my nie na darmo krew przelewali i tej wojny nie zaczynali.

— Kiedy ty, Julcio, nie patrzysz, polskie to czy niemieckie — upierał się Janowicz.

— U osadników też szwabskie, a wystarczy i nam, i im. Żaden z nich, sukinsyn, nie domysłny... Gdyby my na ich łaskę i wyrozumienie czekali, toby z głodu pozdychali.

— Prawdę Julcio mówi, nam się też należy, bo my przyprowadzili im konie — poparł Julcia Olek Łoś.

— I dla rozkoszy tu nie przyjechali — odezwał się Wendyk.

Julcio nagle zaśmiał się i zabrał się do opowieści. Opowiadał, jak to Zofia Janowiczowa przyjechała do Klimka w odwiedziny do Bo-brzyńska, a on byłby swoją własną żoną na śmierć zagłodził.

— Pamiętam, jakie my mieli z nią utrapienie — wtrącił Wendyk.

— Nie w tym rzecz — ciągnął dalej Julcio.  
— Żeby ja nie przyniósł słoików poniemieckich, żona Klimka dwa dni siedziałaby głodna, ażby jej dupa oblaźła...

Klemens Janowicz już nie odpowiedział.

Kiedy zaczęły się żniwa, skończyły się kłopoty z jedzeniem. Odtąd nie potrzebowali chodzić po domach, teraz ludzie sami im przynosili. Każdy, kto chciał wypożyczyć konie. A może było to trochę inaczej. Najpierw tylko niektórzy tak robili, ale kiedy wszyscy we wsi zrozumieli, że żołnierze częściej i chętniej wypożyczają konie tym, którzy coś przynoszą, zaczęli przynosić wszyscy. Po tygodniu nikt już nie przychodził z pustymi rękami, a ci, którzy przynosili lepsze rzeczy, częściej i na dłużej dostawali konie. Niektórzy osadnicy, chcąc usprawiedliwić te łapówki, pomrukiwali:

— Dość namęczyliście się i nagłodzili, biedni żołnierze, na tej przeklętej wojnie.

Po jakimś czasie kanonierzy byli tak rozpuszczeni, że zwykłą słoninę i jajka już niechętnie przyjmowali. Na przykład Julian Markieło teraz sam wyznaczał, jaką żywność ludzie mają przynosić. Czasem Bronek Wendyk, jak wiadomo starszy od nich belką, upominał, że tak w oczy nie przystoi domagać się zapłaty za wypożyczanie koni, a przyjmować tylko wtedy, jak ktoś przyniesie dobrowolnie. Ale to upominanie było tylko dla ludzkiego oka,

bo on sam, kiedy inni nie mogli tego usłyszeć, potrafił chytro napomknąć, ot tak, niby nie chcący, że u nich na wschodzie umieli ludzie robić smakowitą kiełbasę z czosnkiem, choć szynka z chrzanem też nie była najgorsza. Ludzie pojmovali takie wspominki! I trzeba sprawiedliwie powiedzieć, że otrzymywaną żywnością dzielili się równo. I należy jeszcze dodać, że każdy z nich, oprócz Julcia Markieły, zawsze udawał, że ludzie przynoszą dobrowolnie. Tylko on jeden prawdy nie krył, że w pierwszej kolejności daje konie tym, co przynoszą coraz lepsze rzeczy. Bronek Wendyk przyganiał Julciowi, żeby przestał pytlować językiem, ale upominanie nic nie pomagało. Julcio usprawiedliwiając się mówił, że jest w prawie, i to potrójnym. Po pierwsze: ludzie mają różne żarcie, a on nie ma, po drugie: to przecież jemu lekarz przypisał podwójne porcje, a nie ludziom, po trzecie: sam wójt, co miał ich żywić, a nie żywić, podpowiedział, żeby sami sobie radzili. To i radzili po swojemu, z czego wójt także powinien być zadowolony. Zresztą pomijając wszystko, nawojowali się dosyć, więc teraz cywile, co siedzieli w domu, powinni dla nich zrobić coś dobrego.

Pewnego dnia Julcio, sprawiedliwy w dziele niu się wszystkim, co dostawali, miał pewną uwagę do Klemensa Janowicza.

— Słuchaj ty, Klimko, a czemu ludzie tobie prawie nic nie przynoszą?

— Bo nam się należy za darmo dawać



im konie — odpowiedział spokojnie Janowicz.

— Teraz wiadomo, dlaczego oni zawsze najpierw biegną po konie do Klimka — wtrącił Olek Łoś.

— Tobie powinni przynosić jeszcze więcej, bo dajesz im aż trzy konie — napierał Julcio i świdrował swoimi oczkami wielgachnego Janowicza.

— Nie godzi się brać, to i nie biore, dosyć ludzie nagłodowali się w czas wojny.

— Ich żałujesz, a siebie nie żałujesz, jakby my nie głodowali... Ot, głupi ty, Klimko. Chrystusem trzeba się było tobie urodzić, a jak ty się Chrystusem nie narodził, to powinien mieć co dzień do podziału za trzy konie półtora raza tyle co my.

— Od moich koni ty się, Julcio, odczep — odpowiedział Janowicz.

— Jakby ja tego trzeciego konia wziął od ciebie, toby my mieli...

— Zamilczy, ty parszywy...! — wykrzyknął rozniewany już na dobre Janowicz.

Umilkł Julcio, bo mógł on na śmierć pokłócić się z każdym, nawet dwa razy większym od siebie, ale do kłótni z Klimkiem nie miał serca. Myślał tylko: „Jeść to ty lubisz co lepsze rzeczy, które przecież wiesz, skąd się biorą, tylko sam ich nie chcesz wykombinować”. Tak myślał, ale tego nie mówił, bo ta rzecz wypowiedziana byłaby za bardzo niedelikatna.

Na kilka dni przed ich wyjazdem z Dubowa zaprosił żołnierzy do siebie na kolację najbo-

gatszy gospodarz we wsi. Na początku, jeszcze przed żniwami, kiedy ludzie nie byli dla nich hojni, chcieli od tego właśnie osadnika kupować chleb. O sprzedawaniu jednak chleba nie chciał on nawet słyszeć, choć był bogaty. Teraz z ochotą szli do niego na wódkę. Okazało się, że gospodarz chce, aby pomogli mu przy młóceniu. Popijając bimbler, chętnie obiecali pomóc, choć oprócz Janowicza nikt ani myślał o spełnieniu obietnicy. Za pomoc przy młóceniu mieli dostać worek mąki (worki z mąką stały w sieni, bo gospodarz zawsze chciał je mieć na oku, bojąc się złodziei).

Wyszli od gościnnego dla interesu gospodarza niezgorzej podpici. Wszyscy rozstawali się zadowoleni, gospodarz z obiecaną pomocą, oni, że popili i pojedli dobrze. Na dworze wszyscy trzej zobaczyli Julcia Markiełę z wielkim worem na plecach. Julcio zaniósł mąkę prosto do sołtysowej, która na drugi dzień upiekła im chleb. Chleb ten wyjeżdżając wzięli ze sobą i obdzielili nim prawie cały swój pluton w Bobrzyńsku.

Tak oto i na koniec ich pobytu w Dubowie zagórowała Markiełowa sprawiedliwość, jak wszędzie gdzie tylko zjawił się Julcio we własnej osobie. I nikt nie mógł i tym razem powiedzieć, że sprawiedliwość kanoniera Juliana Markieły była niesprawiedliwa, bo przecież to według niej każdemu należy się tyle, ile ten ktoś potrzebuje.

## Kaczki i świniaki

Z ogromnym zaciekawieniem myślał Klemens Janowicz o gospodarce, którą nad Odrą zajęła jego Zośka. Rzec biorąc ogólnie, był zadowolony z tego, co mu doniosła w liście, ale nie o tyle, żeby wcale nie martwić się; wiadomo, kobiecy rozum to nie chłopski. Janowicz miał przecież ciągle w pamięci tę marną gospodarkę, którą zajęła była Zośka przedtem w dawnych Prusach Wschodnich.

Wyprosił więc prosto od samego dowódcy, kapitana Arszenki, siedem dni urlopu, bo mu prawdziwie całą rzecz przedstawił. Wiadomo, że żona potrzebuje męzowskiej głowy i rady, którą on chce jej zawieźć. Kapitan Siergiej Aleksandrowicz Arszenko znał pracowitość kanoniera, więc bez zastanowienia dał mu urlop.

Już na drugi dzień z samiuteńkiego rana ruszył Klemens Janowicz do swojej Zośki — a że miał gospodarską naturę, nie wypadało mu jechać z pustymi rękami. Zadbał więc o pierwszy żywy inwentarz, drobny, ale na początek



dobrze i to. Za olej skombinowany u Dembskiego, który od żniw prowadził w Bobrzyńsku olejarnię, kupił pięć kaczek od osadników. Znalazł potrzebną skrzynkę, w której porobił dziury, żeby stworzenia mogły oddychać, i zabrał się ruską ciężarówką do miasta, przez które przejeżdżali jadąc na żniwa do Dubowa.

W mieście tym pół dnia czekał na pociąg jadący w stronę Szczecina. Wreszcie po południu doczekał się. Zdziwił się, że były to wagony nie bydlęce, a osobowe, tyle że bardzo stare. Przemyślnie usadowił się ze swoją skrzynką w samiuteńkim kącie przedziału, w którym jechali żołnierze.

— Do cholery jasnej, co tak śmierdzi? — odezwał się elegancki porucznik w nowiuteńkim, dokładnie wyprasowanym mundurze.

Wszyscy w przedziale zaczęli spoglądać po sobie, jakby od razu chcieli znaleźć winnego owej smrodliwości, która rzeczywiście była duża. Złym popatrywaniem oskarżał sąsiad sąsiada, szczególnie ostro patrzyli oficerowie na zwykłych żołnierzy, bo wiadomo, że wszystko, co najgorsze, bierze się od szeregowych, co często powtarzali przy każdej okazji.

— Obywatelu poruczniku, to pewnie Kwapisz najadł się znowu cebuli, a może nawet czosnku — służyście powiedział pucołowaty sierżant.

Elegancki porucznik popatrzył z niesmakiem na siedzącego w pochylonym zawstydzeniu żołnierza.

— Kwapisz, czy to prawda?!

— Melduję posłusznie, że nie jadłem nijakiej cebuli ani, ma się rozumieć, jeszcze bardziej czosnku; bo za co i gdzie ja by dostał cebulę albo czosnek? — bronił się oskarżony.

— A przedtem dostawaliście tych waszych smakołyków skolko ugodno — mówił porucznik ze złością. — Ja ciebie, Kwapisz, już dwa razy złapał, jak ty się opychał tym świństwem...

— Dawniej po prawdzie to i zjadł ja czasem, bo u nas we wsi mówili, że to zdrowe — jakby już z większą pewnością siebie odpowiedział żołnierz. — Ale tera nie mam ani spirytu, ani nijakich trofiejów, to jak dostanę...

Pucołowaty sierżant aż pokładał się na ławce ze śmiechu. Żołnierz nazwiskiem Kwapisz patrzył bezradnie na duszącego się ze śmiechu sierżanta.

— Sierżant jest zły, bo gruba Truda wybrała mnie, a nie jego, choć obiecywał jej trofieje — szeregowiec nie dawał za wygraną.

W przedziale rozległ się głośny śmiech, który jednak w jednej chwili ucichł, bo przecież długo nie było się z czego śmiać. Elegancki porucznik, niczym śledczy, po kolei przenosił oczy z żołnierza na żołnierza, a nawet wpatrywał się także w niektórych oficerów. Wszyscy w przedziale za przykładem porucznika, udawadniając tym swoją niewinność, gapili się podejrzliwie jeden na drugiego, ale nie padały już żadne oskarżenia pod niczym adresem.

Niektórzy oficerowie zmiętoszonymi chusteczkami zatykali nosy, bo smród wzmacniał się z każdą chwilą. Od tego smrodliwego, żrącego zapachu jakby i powietrze w przedziale stawało się gęstsze i cięższe. Nic nie pomogło otwarte okno. Klemens Janowicz siedział przy swojej skrzynce z duszą na ramieniu, modląc się w myśli do wszystkich świętych, jakich tylko znał z imienia, żeby jego kaczkki zachowywały się cicho.

— To nie może być smród ludzki — powiedział stary, siwiejący już plutonowy. — Pewnie ktoś wiezie coś porządnie zgniłego albo robaczywego.

— Plutonowy ma rację — potwierdził młody podporucznik siedzący przy eleganckim.

— Panowie wybaczą, ale jesteśmy zmuszeni sprawdzić bagaże, bo inaczej za godzinę zaczadjemy w tym smrodzie na śmierć — elegancki porucznik zwrócił się do podporucznika.

— Łatwiej było zdobyć Berlin niż w tym smrodzie wytrzymać — zażartował trzeci oficer.

Porucznik z puciołowatym sierżantem przesuwali się po kolei do żołnierzy, którzy bez słowa rozwiązywali swoje tłumoki i otwierali pakunki. Oficer niektórym żołnierzom kazał dokładnie rozwinąć co bardziej podejrzane zawiniątka, a z walizek wywalać do samego dna. Janowicz, w przestachu nie na żarty, całą swoją wielką osobą zasłonił skrzynkę z nieśczęsnymi kaczkami.



— Ty, nowy, co ty tam wiesz? — mówiąc to sierżant pochylił się w stronę skrzynki, którą Janowicz zasłaniał sobą, jak tylko mógł.

W tejże chwili rozdarły się wniebogłosy przestraszone kaczki i kilku najbliższej siedzących żołnierzy rzuciło się do skrzynki. Zerwał się na nogi Janowicz i chciał chwycić skrzynkę, ale już ze trzy pary rąk ciągnęły ją do siebie. Widząc, że rzecz może zakończyć się nieprzyjemnie, wywinął się od rozcapierzonych nad sobą rąk braci żołnierzy. Na szczęście pociąg jechał bardzo powoli, więc szybko zeskończył ze stopni wagonu. Nikt go nie gonił, tylko w oknie pociągu zobaczył wygrażające mu pięści i usłyszał najgorsze polsko-ruskie przekleństwa. Zaraz z trzaskiem i hukiem spadła skrzynka z kaczkami na nasyp kolejowy. Ruszył w tę stronę, ale po trzech krokach przystanął, bo skrzynka, mocno już zmiażdżona, z głową jednej kaczki na wierzchu, akurat staczała się pod koła pociągu. W taki do durny sposób Janowicz stracił swój pierwszy dobytek gospodarki w postaci żywego inwentarza. Pomyślał ze smutkiem, że stanie przed Zośką z pustymi rękami. Ale jak miał temu zaradzić?

Janowicz zdążył jeszcze wskoczyć do ostatniego wagonu i w wielkim zatłoczeniu, na jednej nodze, w nie mniejszym od kaczego smrodzie jechał dalej tym samym pociągiem, tyle tylko że już wśród cywilnych i bez kaczek.

Pamiętając przykazania Zośki, wysiadł w Stargardzie Szczecińskim. Tych kilkanaście,

a może nawet dwadzieścia kilometrów do wsi Zagórsko, w której ona zajęła gospodarstwo, dojechał, czym się dało. Kilka kilometrów spotkaną furmanką, potem ciężarowym samochodem, a nawet kawałek ruskim czołgiem. Ostatnie kilometry przejechał z ruskimi saperami, o których już wiedział z listu Zośki, że gospodarzą we wsi i na majątku prowadzą podsobne chazajstwo.

Przywitał się Janowicz ze swoją serdecznie i wcale już nie myślał o sromocie, którą Zośka mu zrobiła, przyjeżdżając do Bobrzyńska, kiedy siedział w areszcie. Józik, jednak Janowiczów, sporo podrośł, zaraz w pierwszych słowach powiadomił tatę, że chodzi do pierwszej klasy, bo od początku września we wsi jest szkoła. Chłopak bez przerwy przymierzał ojcowską czapkę z orzełkiem i ciągle był niezadowolony, że tatko przyjechali bez karabinu. Janowicz wręczył swojej kolorowe chustki i bluzki, a dzieciakowi cukierki — i pierwsze, co zrobił, to zaczął oglądać gospodarkę.

Z godzinę chodził i cmokał zadowolony, że jego Zośka wybrała pierwszorządne gospodarstwo. Wszystko było prawdą, co pisała. Chata murowana z dachówkowym dachem, nawet na piętrze dwa pokoiki, murowana stodoła i obora, tylko szopa drewniana. W stodole znalazł młockarnię, motor, a nawet śrutownik. Zośka miała też sąsiek nie młóconego żyta, które przywieźli jej za spirytus żołnierze, miała też ziemniaki za robotę w gorzelni. Zacierał Jano-

wicz ręce i był wielce zadowolony, bo się po swojej kobiecie takiej zaradności nie spodziewał, ale jej nie pochwalił, nie chcąc znarowić.

Na drugi dzień przyszedł do Janowiczów nauczyciel, dowiedziawszy się od Józika, że jego wojskowego ojca puszczono na urlop. Nauczyciel nazywał się Jan Łapiński, człowiek pod pięćdziesiątkę, też ze wschodu, tyle że spod samego Lwowa. Był u Niemców na robotach i zaraz po sforsowaniu Odry przez ruskie i polskie wojsko osiedlił się w Zagórsku. Przez lato doprowadził szkołę do porządku i choć miał tylko ośmioro dzieci, był bardzo dumny, że dzięki niemu jest już we wsi polska szkoła.

— Ty nie wiesz, Klimko, ile ja zawdzięczam panu nauczycielowi — mówiła ze szczerą wdzięcznością Janowiczowa. — Gdyby nie pan nauczyciel, nigdy nie brałabym takiej dużej chaty...

— Chyba miałem rację, namawiając pańską małżonkę do osiedlenia się na tym gospodarstwie — nauczyciel zadowolony pochwałą kobiety domagał się pochwały również od Janowicza.

— Wiózł ja pięć kaczek... — zaczął Janowicz i uśmiechając się urwał.

— Żeby nie te stare Niemcy, nigdy ja by tu nie siadła... Jaki to strach w takiej dużej chacie... — niby to skarżyła się Janowiczowa.

Po chwili postawiła na stole pieczoną gęś, a Janowicz wyciągnął butelkę samogonu.



— Trochę smutno za swoimi stronami — odezwał się Łapiński.

— Ja tam nie żałuję tej zamiany, tu wszystko murowane — odpowiedział szczerze Klemens Janowicz.

Nauczyciel popatrzył, jakby zamyślając się nad czymś.

— Jab nie powróciła tam za żadne skarby — z przestrachem mówiła Janowiczowa.

— My ze wsi i nam wszystko bulbowcy spalili — wyjaśnił Janowicz.

— Moje dwie siostry i mamę siekierą zarałali...

— Wiele i ja o tym słyszałem, chociaż byłem w tym czasie na robotach u Niemców — potwierdził Łapiński.

Janowiczowa zaraz wyszła, jakby naprawdę z prawdziwymi łzami w oczach.

Rozmawiali popijając mocny samogon, zagryzali przy tym najtłuszczejszą pieczoną gęsią kłuskami na siłę karmioną. Wspominali wiele, Klemens Janowicz front, nauczyciel roboty i pracę u bambrów niemieckich i w fabryce. Kanonier wspominał Wołyń, Łapiński lwowskie i we wszystkim się zgadzali, bo województwa te były sobie bliskie. I wyszło, że na gospodarskie i frontowe sprawy mądrzejszy Janowicz, a na polityczne i książkowe nauczyciel. Kiedy Łapiński dowiedział się, że Janowicz przyjechał na siedem dni, zaraz obiecał pogadać z sołtysem względem wykopania kartofli, a także co do orki i siewu.

— My też, tam gdzie stoimy baterią, robimy u osadników — pochwalił się kanonier.

— To niesprawiedliwe, że wy, coście wojowali, najpóźniej przyjedziecie na gospodarki...

— mówił ze zrozumieniem nauczyciel. — Szczęściem pańska małżonka spisała się dzielnie. A co się tyczy roboty, to najlepiej, tak sobie pomyślałem, niech pan jutro w południe przyjdzie do sołtysa Zagórskiego, ja tam też będę.

— Czy ja się nie przesłyszał? — zapytał Janowicz. — Jakie nazwisko sołtysa?

— To bardzo dobry człowiek, każdemu przychodzi z pomocą, nawet o siebie mniej dba, choć stary... I właśnie od jego nazwiska nazwaliśmy naszą wieś, bo po co nam niemiecką nazwę tłumaczyć, kiedy można mieć ładną polską... A więc niewiele szukając, Zagórskiem nazwaliśmy wioskę...

Klemens Janowicz ze zrozumieniem pokiwał głową.

— U nas na Wołyniu majątek nazywał się tak samo jak pan, co tam żył, a nawet wioskę niedaleko, gdzie mieszkali my, nazywali nazwiskiem dziedzica, co ją jeszcze przed pierwszą wojną ludziom rozprzedał — rozgadał się Janowicz.

— To nie całkiem to samo — jakby z niezadowoleniem odpowiedział nauczyciel. — Coś mi się zdaje, panie Janowicz, że tamte czasy minęły już na zawsze.

Obaj mężczyźni pożegnali się serdecznie.

Nauczyciel prosił, aby Janowicz, jak tylko będzie miał trochę czasu, przyszedł zobaczyć jego szkołę.

W nocy, kiedy Klemens Janowicz leżał ze swoją Zośką pod wielgachną zabużańską pierzyną, czuł już zasypiając, że kobieta ciągle jeszcze nie śpi, a przewraca się niemożliwie z boku na bok, choć było grubo po północy.

— Wiesz, Klimko, ja zamiarowała przywieźć dwie parki świniaków ze wsi zza Szczecina... Żeb ty widział, jakie ładne warchlaki z tamtej wioski przywiózł nasz sołtys... Ja jemu kazała i dla mnie zamówić cztery, ale jak nie przywiozę we wrześniu, to przepadną... — szepnęła.

Nie odpowiedział jej, bo go sen morzył nienitościwie.

— Ty słyszał, Klimko, co ja mówiła?

— A słyszał — potaknął. — A maszże ty za co te prosiaki kupić? — zapytał z grzeczności.

— Pewnie, że mam — hardo odpowiedziała siadając na łóżku.

— To jedź i przywieź — Janowicz sennie ziewając, odwrócił się do ściany.

— Co ty powiedział?! — pretensją złośliwą syknęła jego Zośka. — Byłoby dobrze, żeb my razem pojechali — nagle złagodniała chytro.

— Toż ja mam urlop — bronił się pokonując senność.

— Gdybyż ty nie miał urlopu, toby nie



mógł pojechać — ucieszyła się. — A tak to i mozesz — skończyła uspokojona i zaraz usnęła.

Na drugi dzień od samego rana Zofia Janowiczowa szykowała się do wyjazdu. Co postanowiła, to też zamierzała zrobić, nie pytając o wyraźną zgodę swego Klimka, jakby jego przyzwolenie dawno już miała. Klemens Janowicz dla świętego spokoju nie upierał się, bo znał swoją Zośkę, zwłaszcza że i jemu kupno prosiaków zaczęło się po gospodarsku widzieć.

— A czym ty je będziesz żywić? — zapytał już tylko tak, żeby zapytać.

— Mam przecie kartofle i w gorzelni dadzą za robotę — Janowiczowa odpowiedziała ucieszona, że Klimko nie staje jej na sztorc.

Starzy Niemcy, dawni właściciele gospodarstwa, przyrzekli, że zaopiekują się Józką. Janowiczowie byli spokojni o chłopaka, bo dziecko posłuszne, a Niemcy łagodni oboje, jakich rzadko Janowiczowa widziała w swoim życiu. Nie zamartwiali się ani przegraną wojną, ani stratą gospodarki, martwili się co dzień tylko o dwóch synów, z których jeden był na froncie pod Stalingradem, drugi w Afryce. Wyjeżdżać też nie chcieli bojąc się, że synowie nigdy ich za Odrą nie odnajdą. Starzy lubili Józka, więc tym spokojniej zostawili go z nimi. -

Do stacji kolejowej odwiózł ich sołtys Zagórski, który z uszanowaniem odnosił się do

Janowicza, pewnie z tej racji, że ten był żołnierzem. Sołtys obiecał przyjechać na drugi dzień rano.

Jakiś czas jechali spokojnie. Dopiero niedaleko Szczecina pociąg wjechał na most, co zobaczyli przez wyrwane deski w ścianie wagonu, pewnie dla bydlęcego i ludzkiego oddychania. Most, którym przejeżdżali, był drewniany i przy każdym obrocie kół trzeszczał, jakby zaraz miał się zawalić. Wielki strach Zofii Janowiczowej zwiększał się z każdą minutą, a pociąg, jak na złość, jechał straszliwie powoli, włókł się żółwio po drewnianych, trzeszczących deskach. I rzecz to zrozumiała, że ten przejazd lichym mostem wydawał się kobiecie wiecznością. Janowicz patrzył na swoją żonę, która siedziała struchlała i sinobłada, i nawet pocieszyć jej nie mógł, bo wiedział, że z jego pocieszania, wzięwszy na swój chytry babski rozum, wyrozumiałaby, że jest najgorzej, jak tylko może być. W pewnej chwili chciało się śmiać Janowiczowi, ale i o tym wiedział, że nie może się zaśmiać, bo byłoby to naśmiewanie się z bojaźliwości swojej Zośki, czego ta nigdy by mu nie darowała. Nie mógł więc mieć ani za bardzo smutnej miny, ani za bardzo wesołej, starał się więc siedzieć z jak największą swobodną obojętnością. Wreszcie nieszczęsny most się skończył i podobnie jak przed mostem pociąg znowu przystanął. Janowicz otworzył drzwi i zobaczył, jak ludzie (za mostem tor trochę skręcał

i widzieć to mógł dobrze) szli za pociągiem, a maszynista czekał, aż powsiadają do wagonów. Odwrócił się do swojej Zośki, która teraz doznawszy ulgi, ledwo, ledwo uśmiechając się, przysiadła się do niego na ławkę.

— A czemu ty, Klimko, nie powiedziałś mnie tego? — odezwała się żałośnie.

— Ja sam nie wiedział, że tu taki most i pociąg przed nim przystaje, a potem czeka na ludzi.

Zofia Janowiczowa siedziała dalej naburmuszona.

— Toż już po wszystkim — uśmiechnął się do swojej. — A z powrotem będziemy i my mądrzejsze...

— Od tamtego ostatniego napadu bulbowców dopiero teraz ja się tak strasznie bała...

We wsi za Szczecinem kupili niedrogo cztery wieprzaki, mające na oko gdzieś po dwadzieścia kilo. Jeszcze nie drutowane, czym nie-licho zdziwił się Janowicz. U nich na Woły- niu nikt tak długo nie trzymał nie drutowanych warchlaków, bo takie świnki ryją nie do wytrzymania. Wynajętą furmanką przywieźli prosiaki do miasta. Tutaj Janowicz załatwił wagon bydłocy za trzy litry spirytusu. Kolej- jarz, z którym dogadał się w tej sprawie, po- wiedział, że tylko ze względu na wojskowość Janowicza rzecz całą załatwia tak tanio. Ra- zem z prosiakami przywieźli dwa worki ziem- niaków, więc w Szczecinie kupili tylko piecyk i garnki. Janowicz deskami przedzielił wagon



na dwie części — jedna przeznaczona była dla nich, druga dla świniaków. W ludzkiej przegrodzie ustawili piecyk, na którym Janowiczowa gotowała karm dla świń. Po dwóch godzinach doczepiono ich wagon do pociągu.

Kiedy tylko pociąg ruszył, prosiaki zaczęły się wydzierać wniebogłosy, ich kwik kłuł nie-miłosiernie w uszy. Janowicz, choć słabo paliła się świeca, zobaczył zaraz, że warchlaki gryzą się do krwi.

— Gdyby ja miał więcej desek, toby zrobił kilka przegród — westchnął.

Zofia Janowiczowa zobaczywszy krwawiące świnię, zaczęła z przestachem i ze złością lamentować:

— Czego ty stoisz i patrzysz jak wół na malowane wrota? Toż one na śmierć się zagryzą i będzie marnacja!

— A co ja im zrobię? — odburknął, ale i sam martwił się nie mniej od niej.

— Włóż ty do zwierzaków i nie daj im się gryźć!

Co miał robić. Włazł do świńskiej przegrody i zaczął rozbrajać gryzące się warchlaki. Teraz świnki, choć kwicząc jak przedtem przeraźliwie, rozdzielone jego wielkimi nogami, nie miały takiej sposobności ani swobody do gryzienia się. W myślach dziwił się Janowicz, w jaki sposób warchlaki, tak długo nie drutowane, nie pozagryzały się w chlewie u gospodarza. Po chwili poczuł pod nogami wodnisty gnój i pomyślał ze złością, jaki był durny, że

nie wziął więcej słomy. Wycierając się o jego nogi prosiaki zostawiały na spodniach gnojówkę, a i ziać przejmował całe jego ciało; niewiele przecież pomagał maleńki piecyk stojący w ludzkiej przegrodzie. Kiedy wyszedł ze świńskiej przegrody, Zośka rozgniatła ugotowane już kartofle. Po nakarmieniu jakiś czas zwierzaki jechały spokojnie. Janowicz po wymyciu ubrania z gnoju, dygocąc z zimna w jednych kałesonach, suszył przy piecyku mokre spodnie. W pewnym momencie obudził ich, już drzemiących, przeraźliwy kwik. To warchlaki zaczęły się gryźć z jeszcze większą zaciętością niż przedtem. Znowu nie było rady. Wciągnął spodnie i wlaź do przegrody świńskiej, i jak przedtem, nogami rozdzielił świnię. Znowu szybko przemokły mu spodnie, a w butach zachlupotało gnojówką, która rozpryskiwana przez prosiaki moczyła koszulę, a nawet jej krople spadały na włosy i twarz. Zofia Janowiczowa pochyliła się ze świecą nad świńską przegrodą. W jaśniejszym świetle Janowicz upewnił się, że najgorszy warchlak, najbardziej łaknący krwi, wcale nie był największy, a odwrotnie, chudszy i mniejszy od innych. To on wszystkie trzy warchlaki poranił do krwi, a sam nie miał nawet żadnego widocznego zadraśnięcia. Janowicz zaczął go ze złością kopać.

— Tyle my zapłacili, a ty chcesz pozabijać, jak już niedługo koniec mordęgi i dom blisko!  
— Zośka ze złością szarpała go za rękaw.

— Poszła ty do czorta razem ze swoimi świniakami! — zaklął Janowicz i wylazł od świń.

Zofia Janowiczowa prawie siłą wepchnęła go z powrotem do świńskiej przegrody. Po chwili wyciągnął Janowicz najgorszego prosiaka i trzymał go jakiś czas w przegrodzie ludzkiej. Niewiele to pomogło, bo reszta gryzła się dalej między sobą. Wziął potem jeszcze jednego i odtąd Zośka pilnowała dwu w ludzkiej przegrodzie, a on dwu w świńskiej... I tak dojechali do pamiętnego, szczególnie dla Janowiczowej, mostu. Wyszli z wagonu, jak tylko pociąg przystanął. Kiedy przy księżycu Zofia Janowiczowa popatrzyła na swego, teraz ona chciała się roześmiać, taki był jej Klimko ubabrany w gnoju. Ale nie zaśmiała się, bo nagle naszła ją prawdziwa żalność. Klemens Janowicz, drżący z zimna, włókł się za pociągiem i jakby nie był już samym sobą, a jakimś dziwnym cieniem w księżycowym świetle. A tego, jak był wewnętrznie zły na cały świat, a przede wszystkim na swoją Zośkę, nikt nie opisałby nawet milionem najwredniejszych słów. Nic jednak nie mówił, szedł w milczeniu ponurym, a za nim człapała cała chmara ludzi z pociągu.

— Parszywe świniaki, że też czort ich nie wziął na moście! — powiedział po powrocie do wagonu.

Janowicz osunął się w kącie straszliwie zmęczony. Nie miał już siły nawet pomyśleć



o tym, że pewnie nigdy nie był tak skonany na froncie, nawet w najgorszych godzinach. Na szczęście warchlaki, widząc zmęczone swoją świńską wojną, były już spokojne aż do ostatniej stacji. Nawet ten najgorszy miał pewnie dosyć wszystkiego.

Jak tylko postawili warchlaki w oborze, Zofia Janowiczowa zrobiła naparu z kwiatu lipowego i z korzeni malin, i zanosła do łóżka swojemu Klimkowi. Zaraz też, nie czekając do rana, wyprała jego kanonierski mundur. Janowicz poleżał dwa dni pod zabużańską pierzyną i wstał zdrów jak ryba. Widać, dobrze umiała leczyć grypę jego Zośka. Wrócił z urlopu bez śladu przeziębienia. W Bobrzyńsku stawiał się w baterii, jakby nie ten człowiek, podpasiony, w dobrze zacerowanym, czystym i elegancko wyprasowanym mundurze. Zazdrościli więc inni Janowiczowi urlopu, a on nie miał im tego za złe, bo zazdrość ich była całkiem zrozumiała.

## Pożegnanie kapitana Arszenki

Bombardier Wendyk, Janowicz, Markieło i Łoś umówili się siać ręcznie, bo siewnikiem nijak było robić, grzązł w błocie, a rurki co kilka minut zatykały się perzem — i taki siew był mordęgą. Porobili więc płachty z worków i prześcieradeł i wyszli na przydzielony im zagon siać ławą. Grzęzli w błocie, a zimna maź bulgotała przy każdym kroku w ich brezentowych butach z cholewami. Patrzyli, jak na drugim zagonie siali za karę szabrownicy, których szef baterii starszy ogniomistrz Kosiński przyprowadził z patrolu z sąsiedniej wsi. Kosiński załatwił z wójtem i dostali szabrownicy tydzień przymusowej roboty w bobrzyńskim majątku. Ale kanonierzy nie zaprzęтали sobie głowy szabrownikami, wszyscy myśleli o wczorajszym pożegnaniu ich dowódcy kapitana Siergieja Aleksandrowicza Arszenki. Kapitan żegnając się z baterią, popłakał się jak rebionok i choć na łzy nie mógł sobie dowódca pozwolić, wie-

dzieli, że wewnętrznie cały jest łzami zalany, bo głos mu drżał i przy mówieniu krztusił się, a przecież nikt nigdy takiego jego głosu nie słyszał, nawet w najgorszych wojennych godzinach.

Grzęźli w błocie coraz głębiej i każdy z nich wciąż rozpamiętywał wczorajszy dzień. Po pożegnaniu się z baterią kapitan Arszenko poszedł pożegnać się z chorążymi i porucznikami. Teraz siejąc mieli zgagę pijacką nielichą. A co gorsze, każdy z nich musiał co moment odchodzić na stronę, bo olej z kartoflami, który jedli przy samogonie, bardzo im zaszkodził. Przez wiele tygodni jedna była dla nich w bateryjnej kuchni omasta do wszystkiego: olej z olejarni Dembskiego, którego klęli mocno, choć biorąc na zdrowy rozum, co Dembski był winien.

Zrazu nie mówili do siebie wiele, bo zgaga piekła we wnętrznościach i podchodziła hadkość do gardła, a w brzuchach ostro zakłuwało, pewnie po zmieszaniu oleju z samogonem; dziwili się tym kluciom, bo brzuchy na wojnie przyzwyczaili do wszystkiego i dotąd po takim jedzeniu odczuwali tylko mdłości olejowe, do których, jak do wszystkiego, zdążyli już przywyknąć... Ciężko im szła rozmowa, ale myśleć to każdy myślał, bo to pożegnanie kapitana Arszenki jakby im mówiło, że teraz powoli kończą się wojenne sprawy.

— Oj, miał ja pierepałki z kapitanem Ar-



szenką — w pewnym momencie odezwał się Olek Łoś. — Wtedy jak my przez bagna na Wale Pomorskim na piechotę się przeprawiali i ja dostał czyraki, co byli jak gruszki zgniłki, i jak potem słońce zaświeciło, czyraki te wylazły i sanitariusz wyduszał na ciele... — Łoś urwał, zamyślając się. — Ja wtedy myślał, że już będzie po mnie...

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem, wyczekująco.

— Znaczy było to, jak my przechodzili przez te czortowe błota... — ciągnął opowiadanie Olek Łoś.

— Toż i my wiemy, jaki kapitan był na froncie — przerwał Julcio Markieło, trzymając się za brzuch.

— Gadaj ty, jakie ty miał z nim pierepałki — dopominał się Wendyk.

— Znaczy tak. Jak ja jeszcze powiedział do jednego plutonowego, że jak kapitan nie chce wrócić do domu, to niech nie wraca, ale my, mające żony i dzieci, chcemy powracać... Ot, ja to powiedział i długo nie czekał. Przychodzi za godzinę pisarz bateryjny, że mam się zameldować u dowódcy, nawet ja nie mógł skończyć czyścić konia. Przychodzę do kapitana Arszenki, melduję się przepisowo, jak trzeba, a on nie przerywa i nie mówi po swojemu „Nie nada, nie nada”, jak to było u niego w zwyczaju, siedzi tylko sztywno za stołem i milczy. Patrzę ja, w pokoju nie ma nikogo, a przed nim leży duży nagan. Ja my-

się, chory on czy co, albo jaki kawał chce zrobić, choć to oficer i kawałów niezwyčajny robić jak my w baterii. Jeszcze niczego nie mogę wyrozumieć, jak on bierze nagan i jakby się nim bawi przekładając z ręki do ręki. Mruknął ja coś, bo już z pięć minut stoję jak głupi, a on nic, znaczy się, kapitan Arszenko, bawi się jak dzieciak naganem i wcale jakby mnie nie widzi, patrzy jak jaki maniak w róg pokoju. Jeszcze ja nie pomyślał nic złego, bo kapitan całutki czas patrzy nie na mnie, tylko w ten róg. To i ja tam popatrzył, ale kątpusty i nic tam nawet z mebli nie stało... Ot, pomyślał ja, kapitan zachorował albo na przykład brata jemu zabili na froncie... Nie, nie zdążył ja tak pomyśleć, bo już myślał, że mnie nie ma. Tak i ja usłyszał huk. I wstaje zaraz kapitan z naganem wyżej. Widzę ja, Arszenko cały czerwonosiny na twarzy...

Olek Łoś milknąc przyglądał się Julciowi Markiele, bo ten ni to jęczał, ni to piskliwie pomrukiwał, co można było wziąć za śmiech.

— Mów, mów, Olek — poprosił Julcio. — Ja nie ze śmiechu, to ze rżnięcia w brzuchu od oleju...

Łoś połapawszy się, w czym rzecz, szykował się do dalszego mówienia.

— Znaczy się, na czymże to ja skończył?

— jakby powiedział do siebie.

— Jak kapitan wstał — szybko odpowiedział Julcio.

— Teraz to wiem, że i ja stał krótko, ale

jak człowiek stoi zdurniały, wszystko się jemu wydaje bardzo długie — ciągnął dalej opowieść Olek Łoś i wszyscy zmiarkowali, że mówi składnie jak jaki oświatowy na pogadance, domyślili się, że przez ten cały czas musiał sam sobie wiele razy opowiadać to w myśli, dziwili się więc, dlaczego nikomu o tym dotąd nie napomknął ani razu głośno. — Kapitan Arszenko robi krok do mnie i teraz... Ale ja już zrozumiał, że to moździerz gdzieś niedaleko. Arszenko jak nie bluźnie do mnie... Ja pod tymi ruskimi przekleństwami skulił się jeszcze bardziej, bo do piekła na froncie człowiek był przywyknięty, ale kiedy ciebie ktoś ruga jak najgorszego, to i wytrzymać wtedy trudno... A kapitan nasz zna tych ruskich najgorszych przekleństw tyle, że ja razem wzięwszy, naszych i ruskich, i ukraińskich nigdy i połowy nie słyszał... A potem zmęczony przeklinaniem, zasyczał: „Ubju kak sobaku”... I już mnie się zdawało, że zmęczył się swoim krzykiem, ale gdzie tam, zrobił krok do mnie i dalej krzyczał przy samej mojej twarzy, tyle tylko że teraz wolniej: „Ty durak! Gad chuże Giermańca!!...” Znowu ja pomyślał, że on naprawdę mnie zabije, bo na moment przestał bluźnać przekleństwami. „Wot sztoś nie twoi rebionka, ubiłby swołocz”, jakoś tak powiedział, a mnie kamień spadł z serca, bo ja już wiedział, że nie zabije. „Jejbohu, ubiłby swołocz kak sobaku”, powtórzył mi jeszcze do samego ucha, ciężko



dyszac jak jaki zwierz... Kapitan wziął mnie za tchórza ale jaż tchórzem nie był — Olek Łoś zakończył usprawiedliwiająco.

Akurat skończył się im jęczmień do siania, więc poszli do wozów nabrać.

— Ale bywało, że się i nad tchórzem Ar-szenko umiał zlitować — powiedział Julcio Markieło. — Jak ja był w plutonie telefoni-stów i my szli drut przeciągać, a Niemcy strzelali akuratnie z moździerzy, jeden klęk-nął i zaczął się modlić prosząc, żeby jego za-bić, bo dalej nie pójdzie... Tak i wrócili my z nim do kapitana, a ten znowu klęka przed nim i także samo prosi o zabicie, żeby tylko nie iść tam, gdzie walą szwaby... My myśleli, znając Arszenkę, że on i tak zabije, ale nic się takiego nie stało. Kapitan popatrzył litoś-ciwie i kazał plutonowemu wyznaczyć innego.

Nabierając zboża stali przy trzech młodych szabrownikach, bo i oni akurat brali.

— Szaberku wam się zachciało — powie-dział piskliwie Julcio do stojącego najbliżej.

Zagadnięty popatrzył ze złością, ale nic nie odpowiedział, bo pewnie bał się żołnierzy.

— Nie zaczepiaj ludzi — Janowicz upom-niał Julcia. — A my to byli lepsze?...

Spojrzeli po sobie, bo i tym razem Klimko Janowicz, chcąc być sprawiedliwym, był nie-sprawiedliwy, nie mający najmniejszej racji,

— To, że my wojowali, to mamy za to cier-pieć i zająć gospodarki wyszabrowane? — po-parł Julcia Wendyk.

Nabrawszy jęczmienia do płacht wracali na swój zagon. Julcio mruczał przeklinając, nie wiadomo, czy szabrowników, czy też Klimka, co jego sprawiedliwości znowu nie rozumiał.

Od nowa grzęzli w błocie i marzli nielecho, na szczęście po niecałej godzinie zeszli z pola. Zaczął padać taki deszcz, że niemożliwością było dalsze sianie. Nawet szabrownicy już zniknęli.

Julian Markieło po przyjeździe do baterii zaprowadził do obory swego konika mongołka, który chodził po obejściu. I teraz jak zwykle pogadał z nim jak z dzieciakiem. Mongołek niedawno przypałętał się skądś i już pozostał w baterii. Znał wiele sztuczek, a Julcio go jeszcze kilku innych nauczył. Przewalili mongołka Służbowym, bo najmilszym jego zajęciem było pilnowanie dużych koni w zagrodzeniu, kopiąc zadnimi nogami żadnemu nie pozwalając wyjść. Kanonierzy, wywalający gnój ze stajni, powiedzieli Julciowi, że jeszcze nie wyjechał kapitan Arszenko, że ma wyjechać dopiero jutro z trzema radzieckimi żołnierzami, którzy służyli w baterii jako telegrafisci.

Po obiedzie nie przestawało lać jak z cebra, więc poszli popić do olejarni, którą z Niemcami prowadził Dembski.

Gdy tylko przyszli na olejarnię, Dembski odprawił robiących tutaj Niemców, wyciągnął samogon, zaraz też szykował zakąskę. Ucie-

szyli się wszyscy, bo po tych wrednych mdłościach i zgagach olejowo-bimbrowych o klinie myśleli od rana jak o zmiłowaniu boskim.

— Tylko nam z olejem niczego nie dawaj — odezwał się Julcio — bo my wczoraj, jak żegnali kapitana Arszenkę, najedli się tego, co kucharze zrobili...

Roześmieli się, bo strach Julcia był teraz bezpodstawny. Dembski, sam olej wyciskając, nigdy oleju nie jadł. Siedzieli więc przy litrowie dobrego samogonu i zajadali się jajecznicą na wędzonym boczku, bo wszyscy byli z Wołynia i swoim zwyczajem jedli przy pićciu niemało. Poczęli wspominać różne sprawy z wojny i z gospodarowania w Bobrzyńsku. Dużo też mówili o wypuszczaniu z wojska, bo już najstarsze roczniki zwalniano z baterii i teraz oni wszyscy też czekali na zwolnienie. Znowu pomstowali na niesprawiedliwość, że wyjdą późno z wojska i co lepsze gospodarki będą już zajęte, więc po to przelewali krew, żeby teraz najgorzej na tym wyjść? A ci, co siedzieli w domu za piecem, jak mieli, tak mają najlepiej. Zazdrościli Klimkowi Janowiczowi sprytnej kobiety, która już zajęła dobrą gospodarkę. Tylko Julian Markieło, jedyny wśród nich kawaler, nie martwił się wcale, co będzie później, ważne, że wojnę przeżył, a i teraz jest nie najgorzej. I zaraz Julcio pierwszy wspomniał o kapitanie Arszence, że jeszcze jest w baterii i dopiero jutro wyjedzie z trzema ruskimi żołnierzami.



— Kiedyś kapitan Arszenko złapał mnie, jak ja wioził rzepak — odezwał się Olek Łoś. — Już ja myślał, że uda się i tamten raz, ale ktoś musiał donieść i kapitan akurat wyszedł z mieszkania, jak my wieźli...

— A ja tobie, Dembski, przywoził rzepak wiele razy i nikto mnie nie przyłapał — pochwalił się Bronek Wendyk, odwracając się do Dembskiego, który potwierdził jego słowa.

Tak, to prawda. Utrapienie mieli wielkie, bo dowódca wybrał dla siebie dom w środku wsi i trzeba było z kradzionym rzepakiem przejeżdżać pod samą jego kwaterą.

— I bez tego mieliby my zawsze trochę dla siebie — odezwał się Dembski i on znacznie już podpity. — Bo ja raz, ale za to dobrze oszukał kapitana. Jak on mnie zapytał, ile ja mam oleju z jednego metra, to ja powiedział, że czternaście litrów, to i on uwierzył, a ja mam trzydzieści dwa...

— Znaczy, ty więcej jak połowę zabierasz sobie? — przerwał mu Klimko Janowicz.

— A wam ja nie dawał, ile wy chcieli i ile ja miał? — bronił się Dembski.

Nikt nie zaprzeczał, bo prawdziwie mówił.

— Ale sobie ty bierzesz zawsze najwięcej — dokuczał mu Janowicz.

— Toż i dlatego ja tutaj siadł, kto inny by wam ani litra nie dał — odpowiedział Dembski. — A co się tyczy tego oszukaństwa, to Arszenko zaraz sprawdzał u moich Niemców, ale oni powiedzieli to co ja, bo ja im tak ka-

zał... Pojedzie on do tej swojej Rosji i nie będzie wiedział, ile prawdziwie oleju z metra rzepaku — roześmiał się. — Pędził ja w dzień i z dwieście litrów, a jemu mówił, że najwyżej osiemdziesiąt a już z rzadka dziewięćdziesiąt...

— Ale sprytny to on jest, że takiego drugiego chytrego Ruskiego ja jeszcze nie widział — odezwał się pochwalnie Wendyk.

— Czy kapitan Arszenko żonaty i czy dzieciaki też ma? — odezwał się Janowicz.

— Zdaje się, że on kawaler, bo młody, a w czterdziestym pierwszym, jak jego zabierali, to był jeszcze młodszy — powiedział domyślnie Wendyk.

— Miał on kobiet na wojnie sto razy więcej niż my — zazdrośnie westchnął Olek Łoś.

Julian Markieło podniósł swoje duże uszy, jak tylko usłyszał, że gadają o kobietach.

— Ale kapitan nie poradziłby, jakby chcieli z nim dwadzieścia cztery — odezwał się bełkotliwie śmiejąc się sam do siebie.

Po chwili chichocząc zaczął niewyraźnie opowiadać, a oni pilnie wsłuchiwali się w każde jego słowo. Nie wierzyli własnym uszom, bo nigdy dotąd Julcio nie mówił o takich sprawach. Teraz opowiedział im jak to on, przedzierający się do polskiego wojska, przez miesiąc siedem razy tylko jedząc, z innymi pięcioma doszedł do jednego miasteczka i sprzedał brudne kalesony na jedzenie. Potem przyszli do majątku, gdzie spotkali jed-

nego dziadka i dwadzieścia cztery dziewczyny, które z radością rzuciły się na nich. Zaraz dały im jeść i chciały tańczyć...

— My wiedzieli, co nas czeka, bo one byli napalone i przez rok, prócz stareńkiego dziadka, chłopą nie widzieli...

Opowiadał Julcio dalej, że jak zgasiły światło, to pierwsza mówi: Wchodź pod koc i rozbieraj się, a Julcio jej, że bez kalessonów, a ona, że to jeszcze lepiej... I jak się Julcio położył, druga zaraz ciągnie i krzyczy, że wystarczy...

— To my tylko w trzech zostali, znaczy się, ja i dwóch, bo dwóch uciekło przed spaniem i przenocowało w polu...

— Oj, nabrechał ty, Julcio, że było ich tyle — niedowierzająco a zazdrośnie przerwał mu Olek Łoś.

— I tak zgłodniały przez miesiąc idący? — zdziwił się Janowicz.

— Ja do tej pory nie wiem, skąd brał siłę — Julcio ze skromności opuścił pijaną głowę. — Toż im nie było trzeba wiele, bo jak ja wam mówił, jedna drugiej przeszkadzały i ciągnąc krzyczały, że wystarczy...

Nie zdążył Julcio opowiedzieć do końca. Niespodziewanie otwarły się drzwi i stanął w nich nie kto inny, jak sam kapitan Siergiej Aleksandrowicz Arszenko we własnej ruskiej osobie.

— Baczość! — ochryple ryknął Wendyk.

— Nie nada, nie nada — swoim zwyczajem



powiedział dowódca baterii. — Razreszycie? — zaraz dodał siadając.

Ma się rozumieć, serdecznie zaprosili go do stołu, nalewając pełną szklankę samogonu, a Dembski już smażył nową porcję jajecznicę.

— Miał ja wyjechać siewodnia, ale wyjadę завтра — zaczął pół po polsku pół po rusku. — Ja ostał dzień, bo chatieł praszczatsia nie tylko z oficerami, ale i z kanonierami wszystkimi — wyjaśnił. — Bo z każdym ja miał i dobre, i złe sprawy — dodał uśmiechając się.

Tak, prawdziwie mówił kapitan, to sami wiedzieli dobrze. Olek Łoś był nawet pewny, że kapitan mówiąc o tych złych sprawach ma jego osobiście na myśli. Wendyk, z racji swego starszeństwa, pierwszy zaprosił kapitana do wypicia.

— Z lubost'ju, ale tylko jednego, nigdy nie potrafię zapamiętać, jak to się nazywa po waszemu... Szcze... Czecze — śmiał się Arszenko.

— Strzemiennego — podpowiedział Wendyk.

— Ach, tak, przypomniał ja, ale srazu skazat nikagda nie smagu, szto i sto lat my wojowali

— roześmiał się kapitan i wypił razem z nimi.

Już bez krępacji siedzieli kanonierzy ze swoim dowódcą.

— Ja tylko na ostatku mam słowo do kanoniera Dembskiego, choć do innych też by się coś znalazło — powiedział Arszenko, kiedy

Dembski stawiał przed nim jedzenie. — Żeby Dembski dzieciom nie opowiadał, że miał ruskiego kapitana duraka — mówił dalej, ale niegroźnie. — Ja mogę teraz o tym powiedzieć prywatnie, bo jakby powiedział pozawczora, byłoby z Dembskim chuzo...

Dembski nie na żarty przestraszony, stanął dwa kroki przed kapitanem i stał prawie na baczność.

— Powiem tobie, Dembski, że ja wiedział od początku, ile ty litrów wyduszasz oleju z metra rzepaku — mówił kapitan, swobodnie mrugając do zdurniałego Dembskiego — dokładnie trzydzieści dwa — powiedział i odwrócił się do wszystkich. — Zgadza się, prawda?

Ma się rozumieć, siedzieli przed kapitanem dziwnie milcząco, na szczęście niedługo. Arszenko kazał sobie jeszcze nalać i szczerze śmiał się, a tym śmiechem mówił, że żalu do nikogo nie ma.

— Wy wojowali, wasze prawo coś mieć dla siebie, a ja z wami nie cackał się na froncie i nie dawał nikomu grabić, bo na wojnie jeszcze większy musi być pariadok — przemówił poważniejszym głosem. — A wy, jak teraz sprzedawali olej za spirt, to ludziom cywilnym pomagali wyżyć...

Arszenko posiedział jeszcze z dziesięć minut, wypił trzecią szklankę i poszedł.

Na drugi dzień, kiedy już wyjechał, z uszanowaniem mówili o nim, że chyłrego mieli do wódce i być może, dlatego wojnę przeżyli.

## Kanonier Janowicz zwolniony z wojska

— Obywatelu ogniomistrzu, kanonier Janowicz melduje się na rozkaz.

Janowicz zameldował się służbiście, bo lubił starszego ogniomistrza Kosińskiego, który zawsze łagodnie odnosił się do kanonierów; być może wiedział o ich mordędzie z poprzednim szefem baterii.

— Dobrze, już dobrze... Nie tak służbowo — powiedział Kosiński nie wstając zza biurka. — Jesteście, kanonierze Janowicz, jakby już na wpół cywil... Jak dobrze pójdzie, jutro pojeździecie do domu...

Janowicz zrobił markotną minę, co też w sekundzie dostrzegł szef baterii, który wstał i podszedł do kanoniera.

— Dziwi się pan pewnie, panie Janowicz, że powiedziałem „jak dobrze pójdzie”, choć wiadomo, że jutro zwolnienie — odezwał się łagodnie. — Otóż, chyba mówił panu gospodarczy plutonu, że nie jesteśmy jeszcze w porządku...



— Niby względem czego? — szczerze zdziwił się Janowicz.

Szef baterii wrócił do swego biurka i wziął do ręki leżącą na nim szablę. Janowicz po zardzewiałej pochwie poznał, że to jego osobista szabla.

— To już nie broń, a kawałek żelastwa... Ona już tak przeżarta rdzą, że nikt jej nie otworzy.

Kanonier milczał, jakby nic nie rozumiał.

— Panie Janowicz, pan, zdaje się, przeszedł całą wojnę w lekkiej artylerii?

— Ja ją położył do trofejów i raz tylko brał, na defiladę, a potem i ó niej zapomniał.

— Pan jej nigdy w życiu nie czyścił?

— Kiedy szabla do niczego niezdatna, bo i bagnetem, jak co do czego, lepiej ukroić, a najlepiej to nożem...

— Człowieku, to przecież największy symbol... — zaczął szef baterii i zająknął się. — No, jak by to powiedzieć, szabla to najświętsza rzecz dla żołnierza... U nas w kawalerii i artylerii przed wojną... — mówił dalej z nie mniejszym zdziwieniem kręcąc głową. — To przecież symbol... Ach, ja wam tego nie wytłumaczę — machnął ręką. — Czy pan przed wojną odbywał służbę zasadniczą?

— Melduję, obywatelu ogniomistrz, że nie!

— A to dlaczego, przecież z was kawał chłopca?

— Z przyczyny żylaków na nogach nie wzięli — odpowiedział swobodnie Janowicz. — Do-

szedł ja do Berlina i żadnego żylaka nie czuł.

Szef baterii na chwilę się stropił.

— Ale wy i tak jeszcze nie zdaliście wszystkiego.

Kanonier opuścił głowę i milczał, bo wiedział, o czym mowa. Gospodarczy plutonu straszyl, że dłużej w wojsku zatrzymają każdego, kto nie zda choćby jednej rzeczy wojskowej, którą trzeba zdać.

— Gdzie pan posiał ostrogi?

— Na żniwach, jak my byli w Dubowie — wypalił Janowicz.

Starszy ogniomistrz Kosiński z oniemienia wybałuszył oczy.

— Ja jeszcze przed wojną przesłużyłem w wojsku dwadzieścia lat i nigdy u nas nie zginęła ani jedna szabla, ani jedna ostroga... Więc zgubił pan na żniwach?

— Nie, był taki, co na niego mówili ałtochton i on opowiadał, że Niemcy wzięli jego na Śląsku powstańcem... Upraszał mnie, to i ja jemu dał...

— Pewnie sprzedaliście za spirytus?

Janowicz twierdząco kiwnął głową, przestępując z nogi na nogę, bo nieprzyjemnie dziwiło go takie gadanie szefa.

— A wam nie były one potrzebne?

— Mnie i bez tego konie słuchali, ja nawet jak jeździł dyszlowym, to nigdy tego na zwierzynę nie brał...

— Ale to przecież... — zbity z pantałyku mruknął szef baterii. — Tylko ten powstaniec

rozumiał... Ale niech tam... Wszystkiego najlepszego, panie Janowicz... Podobno zajął już pan gospodarkę nad Odrą?

Janowicz znowu kiwnął potakująco głową.

— Mówią, że na wojnie był pan odważny, to niechże i teraz dzielnie strzeże naszej granicy... — powiedział ogniomistrz Kosiński. — A tu ma pan zaświadczenie na bezpłatne przejazd w okresie trzech miesięcy — wręczając mocno ścisnął rękę kanoniera.

Pożegnał się Klemens Janowicz w tymże dniu z baterią, a przede wszystkim ze swoim najszerszym przyjacielem, Julciem Markiełą, który był słodziutki względem Klimka jak jaki aniołek, a nawet ukradkiem wycierał nos bez jakiegokolwiek potrzeby. A jak się rano jeszcze raz żegnali, Janowicz usłyszał, o czym i przedtem wiedział, że Julcio nie ma żadnej rodziny i wcale mu nie spieszo do cywilnego życia, bo czy w wojsku źle, zwłaszcza teraz po wojnie? Janowiczowi dziwnie zadrżał głos, kiedy pożegnalnie odezwał się do Julcia, z którym przeszedł całą wojnę, ale co było robić? Został Julciowi swój adres, a ten obiecał obowiązkowo przyjechać, jak tylko puszczą go z wojska.

— A i ty kobietę moją poznał, jak była w baterii — zachęcająco przemówił Janowicz. — I nie taka ona straszna, jak udaje...

Na to odezwanie się Julcio Markieło jakby skrzywił się grymaśnie, ale nic nie powiedział. Najpewniej przypomniał sobie szczegółowo, ja-



ki mieli z Bronkiem Wendykiem kłopot z Klimkową żoną, gdy przyjechała ona do baterii.

Jak stał, w swoim żołnierskim ubraniu ruszył rano z Bobrzyńska były kanonier Klemens Janowicz i dojechał, czym się dało, do miasta, w którym złapał pociąg w stronę Szczecina. Po kilku przesiadkach wysiadł w Stargardzie Szczecińskim, bo stąd miał już niedaleko do Zagórska. Teraz było mu jakoś tęskniej. Nigdy nie domyślałby się przedtem, że tak zwyczajnie będzie wracać z wojny. Może dlatego wszystko już było normalne, że ze swoją żoną widział się dwa razy. Zośka przyjeżdżała przecież do Bobrzyńska i on jeździł na urlop do Zagórska. Przedtem jadąc na urlop, niewiele przypatrywał się ludziom, co szli ciągnąc wózki z tłumokami, jechali od strony Odry na furmankach i rowerach. Teraz idących do domu Polaków spotykał o wiele mniej. W pewnej chwili Klemens Janowicz dołączył do dwóch mężczyzn ciągnących ręczny wózek.

— Gdzie wy idziecie? — zapytał.

— My, panie, spod Kutna, byliśmy na robotach u Niemców, a potem siedzieliśmy długo w obozie amerykańskim — odpowiedział jeden z nich.

— To musowo na jakiś pociąg — podpowiedział Janowicz.

— Tutaj za długo czekać na pociągi i ogra bić mogą. Mamy wsiąść w Krzyżu.

— Kiedy to pieszo straszno daleko — zrobił uwagę Janowicz.

Przystanęli na odpoczynek i papierosa.

— Przez całą wojnę nie miałem żadnej wiadomości, ani od żony, ani od nikogo — westchnął drugi mężczyzna. — Idę w nieznane, może w puste... — jakoś tak zakończył.

Janowicz powiedział, że wraca do domu, a dokładniej, do własnej żony, która zajęła gospodarkę we wsi niedaleko stąd, i że on we wrześniu był już tam na urlopie.

— Zazdroszczę panu — usłyszał szeptem wypowiedziane słowa.

Wtedy dopiero Klemens Janowicz współczując pomyślał o spotkanych ludziach, którzy idą do swoich rodzin i nie wiadomo, czy wszystkich zastaną żywych. Z taką właśnie myślą rozstał się z wracającymi z robót, bo akurat ich drogi rozchodziły się.

Przeliczył się srogo Janowicz, bo jego Zośka nie pokazała żadnego zdziwienia, kiedy go zobaczyła. Nie ucieszyła się nawet wtedy, gdy jej powiedział, że już na zawsze wyszedł z wojska. Tylko Józik radośnie paradował w wojskowej czapce i przytulał się do taty. Poprzez głowę chłopaka z coraz większym zaniepokojeniem popatrywał na swoją i z dzieciakiem nie bawił się po dawnemu, choć we wsi na Wołyniu on najbardziej dzieci lubił i z Józkiem umiał zabawiać się jak niańka. Zośka ledwo mu odburknęła, choć do gadania ją zaczepiał. Zaraz nawet pomyślał, że może chora, bo przecież

pamiętał ją zawsze gadatliwą, bywało, nie do wytrzymania ludzkiego.

— A może ty, Zośka, bojaźliwa, że Niemcy nas wygonią? — zagadnął. — Ty nie wierz nijakim plotkom...

— A zabierz ty, do czorta, tych durnych szwabów — krzyknęła zła jak osa. — Tyle ja w wojnę wycierpiała i teraz przez tych wrednych starych jak w piekle...!

Janowicz wpatrywał się w swoją nic nie rozumiejąc; już się bał, że kobieta przez tę wojnę zdziczała, choć zaraz przypomniał sobie, że była normalna, kiedy przyjeżdżał na urlop. Wiedział, jak odcedzając kartofle wpatrywała się w sufit.

— Tatko, mama złości się na panią Rozę i pana Klause — wyjaśnił Józik. — Mama mówi, że przez nich wariacji dostanie...

Janowicz patrzył pytająco.

— Ty wojował, ciebie posłuchać powinno... Pójdiesz do gminy i powiesz, żeby zabrali tych wrednych szwabów... Albo zajmij drugie gospodarstwo, bo ja... — nienawistnie dysząc przymilkła — ja przez nich nie spała po nocach — powiedziała już pochlipując.

Dalej nic nie rozumiał.

— Ja nie pojął niczego. Ty tak lubiła tych starych i mówiła, że to najlepsze Niemcy i choć szwabcy, dobre ludzie — przypomniał jej.

— A mówiła, mówiła!!... — przedrzeźniała go z sykiem. — Ja naszych pomordowanych przez bulbowców tak się nie bała, nawet wte-



dy jak ludzie mówili, że zarabany Franek przyszedł ze świecą do kuchni i szukał jedzenia...

Postawiła na stole jedzenie i usiadła na małym stołku. Siedziała skulona, nagle stała się cicha, jakby się pod ziemię zapadła.

Janowicz zabrał się do jedzenia, bo znał swoją kobietę; trzeba tylko trochę przeczekać, a będzie normalna. W tejże chwili usłyszał głośny szwargot na górze.

— O, zaczęły, zaczęły! — Janowiczowa z nie-nawiścią spojrzała w sufit.

— Wie tatko, pani Roza i pan Klaus co wieczór tak krzyczą — wyjaśniał Józik. — Oni dostali jakiś list w którym napisano, że zabite ich Hans i Adolf...

— Odkąd dostały ten list, nie można z nimi wytrzymać... Mówią, że nieprawdę napisali, bo co noc nocują u nich zabite syny — informowała Zofia Janowiczowa.

— Ot, stare, to przeżywają — bąknął Janowicz nie wiedząc, co jej odpowiedzieć.

— Tatko, pani Roza mówi, że przychodzi do nich nocować Hans, a pan Klaus mówi, że to wcale nie Hans, a Adolf u nich co noc nocuje.

Klemens Janowicz rozumiał. Znał swoją żonę i wiedział, że zawsze była strachliwa do niemożliwości. W całym swoim życiu nie spotkał, nawet na wojnie, drugiej kobiety tak bojaźliwej duchów zmarłych.

— Ty wiesz, Klimko, że te stare mówią do zabitych jak do żywych... Zawsze po pokłóceniu się przychodzi stara i pyta się mnie, czy

nie zaszedł tutaj jej Hans. Potem złązi z góry stary z zapytaniem, czy nie widziała ja Adolfa... Teraz ty wiesz, że ja nie zgłupiała — usprawiedliwiała się Janowiczowa przed mężem. — Ty wojował, to ty załatwij w gminie, niech ich wywiozą za Odrę albo przesiedlą..

Zofia Janowiczowa jeszcze w nocy błagała męża aby załatwił, co się tyczy starych Niemców. A zasnęła dopiero wtedy, jak się Janowicz z dziesięć razy zabożył, że na pewno pogada w gminie i wszystko będzie po jej myśli.

Klemens Janowicz nigdy nie był nawykły do odpoczywania, ani na Wołyniu, ani na wojnie, więc już na drugi dzień rano na wspomnienie żony, że nie ma co dać kurom, przemyślał, jakby namłócić trochę zboża. O cepie, którym dotąd Zośka dla kur młóciła, nie chciał nawet słyszeć, bo nie na darmo wygrał wojnę i w Bobrzyńsku gospodarzył z baterią. Obejrzał najpierw młockarnię, włączył motor, bowiem we wsi podłączono już elektryczność. Nie było jednak pasów i wiedział, że o nie najtrudniej, bo żeby nie Ruskie, i w Bobrzyńsku na majątku nie mieliby pasów do młócenia motorem. Chodził Janowicz ze dwie godziny rozmyślając, a cepa nie brał do ręki, choć Zośka pokrzykując wytykała mu, że to niby dla czego nie chce cepem, jeżeli czym innym nie można — tyle co dla kur, to i cepem raz dwa namłóci. Nareszcie po kilku godzinach przysposobił śrutówkę; zamierzał zrobić kierat, w którym on z Zośką mógłby jak konie chodzić, a Józik wpu-

szczałby po trochu ze snopów do rozszerzonej dziury. Już był znalazł nawet wielgachne koło, ale akurat znowu przyszedł nauczyciel Łapiński. Janowicz zostawił robotę i zaraz zaprosił go do chaty. Teraz samogon przyniósł nauczyciel. Siedli więc po ludzku do stołu, a Janowiczowa smażyła im skwarki.

— No, to nareszcie mamy w panu na stałe osadnika — odezwał się Łapiński z prawdziwym zadowoleniem. — Na szczęście zimy prawie całkiem nie ma i nawet teraz jeszcze można siał. Ma pan już trochę pola zaoranego, pewnie mówiła panu małżonka, która zbierała u Ruskich kartofle, a za to dawali metr za dniówkę i konie do obróbki — informował; potem zamyślił się. — Najgorzej teraz z koniem, ale jak sprzedacie świniaki, to i koń będzie.

— Ja ci nie mówiła, że ja tego najgorszego świniaka, co gryzł, zaraz sprzedała i kupiła trochę do domu — odezwała się Janowiczowa.

W tejże sekundzie w progu pokornie stanęli starzy Niemcy. Zaczęli oboje naraz z taką szybkością mówić, że chociaż Janowicz na froncie poznał trochę szwabską mowę, teraz nie mógł niczego zrozumieć. Starzy nie spuszczaali z oczu nauczyciela.

— Stara mówi, żebym potwierdził, że dalej jest ze Stalingradu niż z Afryki, a stary upiera się, że właśnie o wiele dalej jest z Afryki — Łapiński nie mógł pojąć, co to wszystko znaczy.



— Ich syny zabite, stara upiera się, że przychodzi do nich Hans, co został zabity w Afryce, a stary, że to właśnie Adolf, co jego zabiły pod Stalingradem — wyjaśniła Janowiczowa. Wreszcie nauczyciel zrozumiał. — U nas tego nie ma, wszystkie dzieci jednakowo kochane, bo swoje, a u nich on lubił jednego syna, a ona drugiego — dodała Janowiczowa.

Nauczyciel chwilę patrzył na starych Niemców, jakby mocno się nad czymś zastanawiał. Po chwili coś im powiedział i Niemcy wycofali się, wciąż jednak nie przestawali nienawistnie do siebie pokrzykiwać.

— Powiedziałem im, że akurat dokładnie tak samo daleko ze Stalingradu jak z Afryki.

— To już byłoby lepiej, żeby pan im był powiedział, że skądś jest bliżej, bo będzie to samo, co było — zmartwiła się Janowiczowa.

— Gdybym o tym pomyślał, wybrałbym dla nich jednego — uśmiechając się mówił nauczyciel, ale Zofii Janowiczowej nie było do śmiechu, nawet najmniejszego.

Janowicz też siedział poważny, jakby nawet smutny.

## Konna podróż Julcia Markieły

Wiosenne słońce tego dnia przygrzało mocniej, więc Julian Markieło wygodnie siedzący na ławce przed stajnią, nadstawił swoją twarz na jego ciepłe promienie. Służbowy, który chodził od rana po obejściu majątku, przyszedł wreszcie do niego. W ostatnich dniach trochę bał się Julcia, a może i po swojemu gniewał się i jakby unikał swego pana. Przyczyną tego gniewu było kilka pasów, które Julcio wlepił mu za to, że po wejściu do bateryjnej kuchni, gdzie chodził zawsze mile witany przez kucharzy, ostatniego razu zachował się niemądrze chcąc tutaj załatwić swoją potrzebę. Teraz Julian Markieło, choć ciągle nie otwierał oczu, poczuł po zapachu i chodzie, który dobrze znał, że idzie do niego nie kto inny, jak tylko Służbowy.

— No chodź, chodź, nie bójże się mnie — odezwał się łagodnie, jeszcze nie otwierając oczu. — Ja ci wlał, bo się po ludzku tobie należało, ale nie dał ciębie bić kucharzom, bo ty

mój i my już samiuteńkie zostali na świecie.

Mongołek, słysząc łagodny głos Julcia Markieły, podchodził coraz odważniej, aż wreszcie stanął bliźutko przy nim.

— No, daj łapę, przywitajże się ze mną — mówiąc to wyciągnął rękę i popatrzył na swego konika z wielką przyjaźnią. Służbowy przysiadł na zadzie podając prawą nogę, którą Julcio Markieło uchwycił w swoją dłoń prawdziwie jak przy powitaniu.

— Już dobrze, dobrze, nie zanadto — powiedział puszczając końską nogę.

Mongołek zaraz ułożył się przy nim na boku jak jaki najwierniejszy pies.

— Ja tobie, Służbowy, powiem coś ważnego, słuchaj ty tylko z pilnością — teraz mówił poważnym głosem. — Jutro my, zaraz jak wzejdzie słońko, wyruszymy oba do Klimka... I mówię tobie, że on się rozraduje, jak nas zobaczy... I jak jeszcze nie puści ciebie szef, to uciekniemy... Najbardziej uraduje się Klimko nie ze mnie, a z ciebie, bo będzie miał konia do gospodarki... Przecie ty już uczony, nie taki durak ciemny jak te mongołki, co my mieli z nimi tyle utrapienia, jak przyuczali do jeżdżenia i ciągnięcia armat...

Julian Markieło wstał, widząc to Służbowy też zaraz stanął obok niego.

— Teraz pójdziemy zameldować się do szefa — powiedział i ruszył, a obok niego szedł Służbowy.

Kiedy przechodzili obok zagrodzenia, gdzie



stały normalne, duże konie, Służbowy potrząsnął grzywą i majtnął swoim najgęstszym ogonem, jaki kiedykolwiek miał jakiś koń na świecie. Przynajmniej Julcio nigdy jeszcze nie widział tak grubego ogona u innych koni.

— Skończyła się już moja i twoja służba — powiedział, a mongolek zastrzygł uszami, jak zawsze kiedy Julcio do niego mówił.

— Tak ty tutaj zaczekaj, a ja zaraz wrócę — poprosił, a konik w sekundzie przystanął przy wejściu do kancelarii szefa. — I poproś ty swego końskiego i mongolskiego boga, żeby i ciebie nareszcie zwolnili...

Julian Markieło, choć sam został już zdemobilizowany, od pięciu dni czekał na zwolnienie mongolka z wojska. Uparł się i za żadne skarby nie chciał bez niego odchodzić z baterii i chociaż Służbowy nie już nie miał do roboty wśród dużych koni, był zapisany i tylko sam dowódca mógł go puścić. Jak na złość dowódca akurat ożenił się i od tygodnia był na urlopie.

— Jak sierota zostanie z tymi końmi, co całym innym? — przekonywał Julcio żałośnie szefa baterii starszego ogniomistrza Kosińskiego.

— A dotychczas? Przecież on już od dawna w baterii — mówił Kosiński.

— Kiedy on się nie nadaje do zwyczajnych koni i jego nie zlubieeli, bo on od nich chytrzejszy...

Przypomniął sobie te rozmowy wchodząc do

kancelarii szefa z upartą myślą, że już nie będzie patrzył na nic i postawi na swoim. Tym razem ogniomistrz Kosiński pewnie domyślając się, co się święci, był bardziej uprzejmy. Może dlatego, że kłopot miał z dodatkowym zaprowiantowaniem dla zwolnionego Julcia, zgodził się od razu na zabranie mongoła.

— Będę się tłumaczył za niego przed dowódcą — powiedział tylko.

— Gdzieżby tam dowódca rozmyślał o mongołku przy swoim weselu — odrzekł Julcio rezolutnie, ale zaraz się zmiarkował: — Dziękuję, obywatelu ogniomistrzu! — wykrzyknął i wyprężył się całą swoją skromną osobą. — A to ja nie dla siebie, ja jego chcę zaprowadzić Klimkowi, co pisał, że jemu ładny koń zdechł...

Szef baterii popatrzył w zamyśleniu.

— To znaczy się, Klemensowi Janowiczowi ja jego rychtuję — wyjaśnił Julcio.

— Ach, kanonierowi Janowiczowi — uśmiechnął się Kosiński. — Pamiętam Janowicza... A pozdrówcie go ode mnie...

— Tak jest, obywatelu ogniomistrzu — Julcio wyprężył się radośnie.

Jeszcze tego dnia ruszyli w drogę, były kanonier Julian Markieło i mongoł, co się zwał Służbowy, bo i wojnę już zakończyli dawno i z wojska wypisano ich na amen. Nie wziął Julcio ani siodła, ani uzdy, nie brał niczego, kierował mongołkiem własnymi nogami, jakby

miał na nich ostrogi; pomagał sobie przy tym grzywą. Nie brał też żadnego pożywienia dla Służbowego, bo on umiał żywić się wszystkim tym, co jedli ludzie. Mongołek jadł prawie wszyscyutkie odpadki z bateryjnej kuchni, nawet głowy śledzi. Dziwiło to na początku kanonierów, ale zaraz zrozumieli, że on pewnie był do tego przywykły, może zanim trafił do nich, błakał się pośród ludzi, do nikogo jednego nie należący.

Jadąc przez wioski wyglądali dziwnie i śmiesznie, choć nikt głośno ani się nie śmiał, ani dziwił, bo ludzie przywykli w ten czas powojenny do nie takich dziwności, szczególnie tutaj, na Ziemiach Odzyskanych, które nazywali po swojemu dzikim zachodem. A naprawdę Julcio Markieło jadący na Służbowym wyglądał paradnie, bo jego nogi, pomimo że były małe, dotykały prawie ziemi, jechał jak dzieciak na drewnianym koniu.

W jednej wsi, gdzieś w połowie drogi do miasta, przez które mieli przejeżdżać, przystanęli, aby się pożywić. Julcio rozłożył na murawie swój brezent, zrzucił płaszcz, a przy nim zaczął skubać trawę Służbowy, jakby i on wiedział, że to pora jedzenia. Julcio wyciągnął z torby chleb i dwa kawałki wędzonego dorsza i z góry wiedział, że ani on, ani mongołek po takim pożywieniu nawet nie poczują smaku. Rozłamał chleb i połowę podetknął mongołkowi, który sprytnie po kawałeczku ściągnął ją



zuchwami, po chwili zjadł też kawałek wędzonego dorsza. Julcio po zjedzeniu swojej porcji poczuł jeszcze większy głód, bo teraz srodze żołądek rozdrażnił, więc pomyślał markotny, że już lepiej nic nie trzeba było jeść, aż do spotkania porządnego żarcia. Zaczął więc przemyślać, jakby tu co skombinować.

Z chaty stojącej całkiem niedaleko, wyszła kobieta, do której Julian Markieło chciał wykrzyknąć coś pociesznego, ale nie zdążył.

— Panie żołnierzu, prosim w dom na poczęstunek!

Tego dwa razy Julciowi nie trzeba było powtarzać. Ruszył co prędzej ze swoim konikiem.

— Zobaczyliś was przez okno i pomyśleliś, że pewnie pan żołnierz głodny — powiedziała kobieta. — Prosim do środka...

— Kiedy ja nie sam — odpowiedział wskazując ręką Służbowego. — To także stworzenie i już porządnie zgłodniałe...

— Uwiążta jego u płota, a ja popytam chłopca, czy ma coś kuńskiego, bo my jeszcze przez kunia.

— Ja jego nigdy nie uwiązywałem.

— No to niech pan żołnierz zostawi i wejdzie do chałupy.

— Jeśli łaska, przynieście tutaj, co macie... — poprosił Julcio miło uśmiechając się.

— Jakże to tak, na dworze? — zdziwiła się kobieta — Chodźta zjeść po ludzku, ja mam tylko zalewajkę.

Chwilę czekała, ale widząc, że mały żołnierz nie rusza się, odwróciła się na pięcie, wracając do mieszkania.

— Przynieście, matko, dwa talerze! — wykrzyknął za nią.

Kobieta zatrzymała się i odwróciła w drzwiach.

— Toć, jak zjecie, to wam doleję — powiedziała z uśmiechem i weszła do domu.

Zaraz też wróciła z pełnym talerzem zalewajki.

— Dajcie najpierw jemu, bo ja na nim jechał i on się zmachał.

Kobieta stała w miejscu z talerzem w rękach i patrzyła zdurniała. Po jej twarzy poznał, że myśli o nim jak o pomyłonym.

— Śmiało, matko, on z ręki je... Służbowy tylko od Niemców nie chciał brać — zachęcał Julcio. — Na majątku, gdzie gospodarzyli my z baterią, karbowym był Niemiec bez oka, co pilnował przy robocie szwabów, to on od niego nie chciał jeść nawet owsa...

Z twarzy kobiety nie znikало zdziwienie, postąpiła jednak krok w stronę mongołka.

— Śmiało, szanowna paniusiu, pod samą gębę, a on już poradzi.

Mongołek podszedł i schylił pysk do talerza. Kobięcina cierpliwie czekała, aż zje do dna.

— Toć to rozumne i uczone jak człowiek! — zdziwiła się.

— On nie takie sztuczki umie... A samogon

pije, tylko jemu dać — roześmiał się Julcio.

— Bimbru u nas ni ma — odpowiedziała i weszła do chałupy, a on pomyślał z żalem, że na nic zdało się jego chytrenkie przymówienie się.

Zjadł Julcio talerz zalewajki, ale o drugi nie poprosił, bo był już czas powojenny i wiedział, że teraz dla delikatności ludzkiej za dużo cudzego darmo jakoś nie wypada jeść.

Odtąd nie siadał na Służbowego, bo do miasta mieli niedaleko, a i były inne jeszcze tego przyczyny. Służbowy szedł jakby zmęczony, co było dobrze widać, no i on sam trochę sobie tyłek odparzył, i taka jazda nie była znowuż za wielką przyjemnością.

Gdy zaczęło się miasto, Julcio wsiadł jednak na mongola, bo jakoć niezręcznie było dalej iść w dwójkę szosą, a chodnikami też nie mógł prowadzić zwierzęcia. Wjeżdżał były kanonier Julian Markieło do miasta na Służbowym jak podczas jakiej parady, bo i ludzie teraz na nich pilnie patrzyli, nie to co we wioskach. W środku miasta zatrzymał ich polski major. Julcio pociągnął za bujną grzywę Służbowego i zaraz przystanęli.

— Szeregowy, jedziecie jak jaki Sanczo Pansa na swoim osiołku — powiedział oficer.

Julcio zdziwiony zamrugał oczami, bo nie bardzo wiedział, co do niego mówi major.

— Melduję, obywatelu majorze, że to nie żaden osioł, a mongół, to znaczy się Służbowy, który ludzką mowę też rozumie, bo uczo-



ny — odpowiedział. — Ma się rozumieć, jak się mówi jemu po imieniu i po dobremu.

— Przecież widzę, że to mongoł, a nie osioł — zachnął się oficer.

— Za przeproszeniem, obywatel major powiedział, że to osioł.

— To wy pewnie jesteście osłem! — zdenerwował się oficer, bo już przechodzący ludzie przystawali gapiąc się na nich. — Zejdźcie wy wreszcie z niego i podejdźcie do mnie!

Julcio zrobił, co kazał major. Stał ze Służbowym przy samym chodniku.

— I jak to tak, polski żołnierz, a jedzie jak oferma bez pasa! I meldować się poprawnie nie umiecie, szeregowy!

— Kiedy mnie już wypuścili.

— Skąd was wypuścili? Z więzienia? — zapytał oficer cofając się nieznacznie.

— E, gdzieby tam zaraz z więzienia — odpowiedział Julcio tonem pogaduszki, jakby rozmawiał ze swojakami w baterii. — Ja już zdemobilizowany, ma się rozumieć, a i Służbowy już nie wojskowy — pokazał głową mongołka, który dziwnie polubił majora i strzygł do niego uszami.

Oficer odetchnął z ulgą.

— Powiedz, Służbowy, panu majorowi, czy my nie wyszli już z wojska, choć po prawdzie, to ciebie długo nie chcieli wypuścić.

Julcio wyciągnął koryszki częstując oficerą, ale ten odmówił.

— Wcale nie wygląda pan na zdemobilizowanego. Jeżeli was zdemobilizowano, to nie trzeba paradować w mundurze!

— Kiedy ja nie mam żadnego innego ubrania — odpowiedział Julcio zaciągając się już papierosem.

— Pokażcie dokumenty! — rozkazał oficer.

Julcio podał książeczkę wojskową i wszelkie zaświadczenia, jakie dali mu w baterii, nawet papierek na mongołka.

— No tak, zgadza się — mruczał major przeglądając dokumenty. — Ale musi pan zdjąć orzełek z czapki i odpruć naszywki z kołnierza. Niech pan zaraz to zrobi i nikogo nie wprowadza w błąd — powiedział i nie oglądając się odszedł.

— Chodź, Służbowy, wejdziemy do tego domu, bo nie honorowo na ulicy przestawać być wojskowym — zwrócił się Julcio do swego przyjaciela.

Służbowy z łatwością wszedł za nim po kilku schodkach, bo nie po takich schodach chodził. Ileż to razy dał radę wejść na pierwsze piętro w bobrzyńskim pałacu, gdzie stała bateria.

W pustym domu, w pokojach z powyłamywanymi drzwiami, walało się wiele najróżniejszych rzeczy, zniszczonych i połamanych. Spod ich kroków unosiło się pierze z rozprutych pierzyn, a kiedy Służbowy prychnął, bo pewnie piórko weszło mu do nosa, pierze zaczęło

osiadać na nich jak wielkie płaty mokrego śniegu. Julcio, nie patrząc na nic, zdjął czapkę i odgiął orzełek.

— Ucieszy się Józik Klimków, bo dzieciakom i sto orzełków nie znudzi się — powiedział ni to do siebie, ni to do Służbowego.

Zaraz też zajął się czarno-czerwonymi naszywkami na kołnierzu. Zdjął płaszcz i zaczął odrywać mocno przyszyte naszywki; na szczęście miał przy sobie nożyk. Potem odpruł naszywki z munduru. Wyszli na ulicę oznaczoną pierzem, Służbowy gdzieś tam na grzywie i ogonie, Julcio, który przed chwilą już do reszty przestał być kanonierem, miał puch z pierzyny na spodniach, a jeszcze więcej na płaszczu.

Było już dobrze pod wieczór, gdy ruszyli dalej przez miasto. Julian Markieło, widząc tyle spalonych i zbombardowanych domów, pomyślał markotnie, że i przez dwadzieścia lat nikt tu niczego dokładnie nie zbuduje. Zaraz jednak o tych sprawach ogólnych przestał myśleć, bo znowu głód dokuczał i wiedział, że Służbowy także głodny, to przecież też stworzenie żyjące. Wreszcie znaleźli lichą stołówkę, gdzie gruby chłop sprzedawał po złotówce zupę szczawiową. Zamówił od razu pięć talerzy, ale jak to było po ludzku u niego w zwyczaju, najpierw dał Służbowemu. Ludzie wychodzący ze stołówki zdziwieni przystawali na ten widok. Po chwili do Służ-



bowego jedzącego z talerza podeszło kilku mężczyzn.

— Pewnie z cyrku — odezwał się jeden z nich.

— Z jakiego tam cyrku, wojskowy i wyuczony w baterii — odpowiedział Julcio. — On nie takie umie sztuczki — dodał z dumą.

— Sprzedajcie go, żołnierzu — znowu ten sam człowiek — a ja zrobię interes, będę z nim jeździł i przedstawienia dawał za biletami.

— Przecie mówię, że on w wojsku wyuczony, a nie w żadnym cyrku... O, jeszcze numer ma wypalony, tyle że już zarośnięty sierścią.

— Wojskowy, nie wojskowy, interes by można było na nim zrobić — upierał się chętny na Służbowego — bo to ani koń, ani osioł.

Na te słowa Julcio Markieło skrzywił się, zaklął grubo po rusku, jak najprędzej wsiadł na Służbowego i pojechał. Wojna skończyła się rok temu i teraz za bardzo odważnym Julcio już nie mógł być.

— Nie bój się, nie dam ja ciebie nikomu — przyrzekał Służbowemu, kiedy już spory kawalek odjechali od ludzi. — Ty dla Klimka przeznaczony, a on ciebie nie skrzywdzi, bo zna końską naturę bardziej od ludzkiej.

Julian Markieło razem ze Służbowym zaczął przeszukiwać puste domy, w szczególności szopy i stodoły na skrajach miasta, żeby znaleźć jakieś bardziej końskie jedzenie. Nareszcie

jak już prawie ściemniało, w jednej piwnicy znaleźli przykryte worki pszenicy i owsa. W szczególności ucieszył się Julcio z owsa, zaraz dobrze dokarmiając mongolka, który najedzony i zmęczony, położył się na rozrzuconych papierzyskach w pokoju przed piwnicą ze zbożem. Wziął z niego przykład, ułożył się obok i ze smakiem zasnął.

W nocy obudziły Julcia jakieś rozmowy i stąpania. Usiadłszy począł nasłuchiwać, po chwili budził już Służbowego.

— E, Służbowy, czy ty śpisz, czy udajesz? Jakies ludzie stoją pod oknem.

Służbowy sennie podniósł głowę, ale zrywać się na nogi ani myślał.

— Służbowy, czorcie jeden! — mówił tar-mosząc zwierzaka za uszy.

Kroki były już pod drzwiami.

— Ty, Mietek, tam ktoś jest — usłyszał Julcio. — O jakimś służbowym mowa...

— Pójdź i poświeć w okno, a ja tutaj zaczekam — odpowiedział drugi głos.

Nie wiedząc dlaczego, i wcale nie mając w tym uplanowanego podstępu, Julcio rzucił płaszcz okrywając nim zwierzaka, tylko głowa Służbowego wystawała spod okrycia. Zaczął nasłuchiwać. Ktoś wspinał się po murze do okna. Nagle zabysło światło latarki i jasność przesunęła się szukająco po pomieszczeniu. Kiedy w jasności znalazła się głowa Służbowego przykrytego płaszczem, pod oknem ktoś jęknął i ciężko zeskoczył z muru.

— Tss... Tss... — rozległ się cichutki szept pod drzwiami. — Tam, tam żołnierze... A jeden jak sam diabeł...!

— Przespał ty, Służbowy, i nie wiesz, jak się ciebie przestraszyli szabrowniki, co pewnie po ukradzione zboże schowane w piwnicy samochodem przyjechali — powiedział Julcio, odzyskując swój osobisty rezon.

Rano były kanonier Julian Markieło i Służbowy, który był najprawdziwszym mongolem, ruszyli dalej w drogę.

W małym miasteczku, przez które wypadło im przechodzić, zaczepił ich młody milicjant i chciał zabrać Służbowego, mówiąc, że chudoby żadnej z ich powiatu nie można uprowadzać. Julcio się tłumaczył, że oni tutaj przyszli, więc Służbowy nie jest z tego powiatu, a był wojskowym razem z nim w baterii. Nie pomogło nawet pozwolenie szefa baterii na mongółka — milicjant upierał się, że dla niego przykaz jest przykazem. Co było z nim robić, Julcio nie wiedział, bo nigdy nie wiadomo, czego można spodziewać się od takiego młodego narwańca, zwłaszcza z karabinem na plecach. Wreszcie domyśliwszy się po akcencie, zaczął go nagle ścisnąć z wielkiej radości i obcałowywać po twarzy.

— Ty przecie też z Wołynia... Ziemiak i nie poznaje swojaka, a czy my tutaj na dzikim zachodzie mamy się pozabijać i pokrzywdzić, żeby się z centrali szabrowniki cieszyli... Może i ty, synku, nie pamiętasz za bardzo, ale



u nas na Wołyniu każdy każdego kochał po bratersku i nikt nikogo nigdy nie krzywdził... Jakby ja spotkał twego tata, toby on tobie wlał z dziesięć pasów i batogiem by przejechał po spinie... — pytlował Julcio jak nakręcony, ukradkiem popatrując na gębę chłopaka.

Milicjant opuścił głowę i zaraz łagodnie a usprawiedliwiająco mruknął, że taki miał rozkaz... Pewnie bał się Julciowego wyrażania tatem, bo na Wołyniu ojciec był szanowany jak nigdzie na świecie, a dzieci w surowości chowane. Dowiedziawszy się, że Julcio idzie do Stargardu Szczecińskiego, poradził, żeby nie jechać szosą, bo o wiele dalej, a przeprawić się tratwą zaraz za mostem. Młody milicjant z uszanowaniem odprowadził ich nad rzekę, gdzie chłop przewoził ludzi. I tu było trochę kłopotu, bo Służbowy za skarby świata nie chciał wejść na tratwę. Julcio z największą pieśczołą prosił zwierzaka, wyblagiwał, potem krzyczał i klął po rusku i po polsku — wszystko na próżno. Służbowy, jak się położył przed rzeką, tak i wstać nie chciał, zapierał się z wielkim przestachem w oczach, kiedy chcieli go podnieść.

— Jak on był w baterii, to jednego razu się topił, i teraz wody strachliwy jak śmierci — wyjaśnił Julcio.

Radzi nieradzi przenieśli mongółka na rękach na tratwę, położyli skulonego, drżącego na całym ciele, jakby zarzynanego.

Z wielką serdecznością rozstali się były ka-

nonier Julian Markieło i młody milicjant, który także pochodził z Wołynia.

Zaraz za rzeką Julcio zobaczył szopę stojącą kilkadziesiąt metrów od innych zabudowań. Zostawił przed nią pasącego się Służbowego, a sam wszedł po przystawionej drabinie na stryszek ze słomą. Nie zdejmując płaszcza zagrzebał się w słomie i zasnął. Nie miał jednak szczęścia pospać sobie porządnie, bo zaraz obudziły go krzyki. Zerwał się i wyrzwał na dwór. Przed szopą jakiś obcy człowiek wygrażał Służbowemu widłami obrzucając go przy tym najgorszymi przekleństwami i wyzwiskami. Mongołek stał spokojnie i obojętnie patrzył na rozwścieczonego człowieka.

— A co wy tak rozsierdziliś? — zapytał Julcio i wcale nie bał się o Służbowego, bo wiedział, że on chytry i nie da się uderzyć — Co wam takiego Służbowy zrobił?

— Jakim tam służbowy? — odburknął zdziwiony chłop widząc żołnierza w swojej szopie. — To pewnie wasz?

— A pewnie, że mój — odpowiedział z dumą, przeczuwał, że i tym razem Służbowy pokazał swoją mądrość, bo zwierzaka znał nie od dzisiaj.

Chłop nawet nie zapytał, z jakiej to racji napotkał w swojej szopie obcego żołnierza.

— Przychodzę ja i widzę przy drabinie mongołka, więc wyciągam do niego rękę, żeby pogłaskać, a on jak się niespodziewanie nie

obróci i jak nie wierzgnie kopytami... To szczęście, że zdążyłem się odchylić, inaczej byłoby już po mnie...

— On tak nauczony, jak pilnował dużych koni i napędzał ich do zagrodzenia — wyjaśniał Julian Markieło.

— On nauczony zabijać?

— E, nie w tym rzecz. Zwyczajnie to on łagodny, ale was się pewnie przestraszył myśląc, że chcecie jego zabrać... — Julcio spojrzał na widły w ręku gospodarza. — Znaczy się, on mnie wybawił od śmierci — odezwał się smętnie. — Jak ja był w słomie zagrzebany, wy by mogli mnie nadziać jak na widelec.

Chłop popatrzał, zamrugał oczami i zrozumiał; zaraz uśmiechnął się do Służbowego.

— To może być i prawda — zgodził się.

Kiedy Julcio zlaźł ze stryszka szopy, zaraz i Służbowy podszedł bliżej.

— A i jemu wy podziękujcie — roześmiał się Julcio.

Postali i pogadali, jak się stoi i gada w krótkim ludzkim, nieznanym zetknięciu się. Mongołek też stał i przysłuchiwał się jak człowiek milczący. Wypalili po papierosie i Julcio ze Służbowym poszli dalej przez pole do szosy.

— Toż i prawdziwie tobie ja życie zawdzięczam — powtórzył Julcio jadąc już na Służbowym. — A u Klimka ty nie będziesz miał źle, bo on ma serce do zwierząt, w szczególności do koni — pocieszał mongołka, jakby



się usprawiedliwiał, że go przeznacza komu innemu. — On już ma gospodarkę i ty jemu bardziej potrzebny — poklepał Służbowego, który z zadowoleniem jak pies merdał ogonem.

Nagle zaklął sam na siebie, bo przypomniał sobie, że przecież do żadnej władzy nie doniósł o zbożu znalezionym w piwnicy.

— Ot, widzisz, Służbowy, jaki ja durny... Szkoda, że ty mnie tego nie przypomniał, teraz nijak tam wracać, jak my niedaleko Klimka.

Bez trudu znalazł w Stargardzie Szczecińskim ten dom, zostawił Służbowego przed wejściem na chodniku, a sam wszedł. W pokoju, który pokazali żołnierze na korytarzu, siedział za długim stołem młody plutonowy i coś czytał. Były kanonier powiedział dzień dobry i wtedy plutonowy podniósł głowę.

— Jak to tak, wchodzicie jak pierwszy lepszy cywil? O, szeregowy leni się wyciągnąć ręce z kieszeni!

Julcio wyjął rękę z kieszeni, ale nie stropił się, a odwrotnie, uśmiechnął się z powodu pomyłki.

— To przecie ja już cywil, a i nie był szeregowy, tylko kanonier — wyjaśnił dobrotliwie.

— Nie widzę tego.

— Ja już wypisany z wojska — ciągnął —

nawet orzełek odgiął i naszywki oderwał — mówiąc to wyjął z kieszeni spodni orzełek i czarno-czerwone skrawki jedwabiu.

— Ach, tak — skrzywił się plutonowy. — Niech pan da dokumenty. Ale niech pan nigdy nie zapomni, że jest żołnierzem i w każdej chwili Ojczyzna może powołać.

Zdziwił się, bo jemu major, który kazał zerwać orzełek i naszywki, mówił całkiem co innego, ale zamilczał swoje zdziwienie. Plutonowy wziął do ręki dokumenty i przez chwilę z uwagą je przeglądał.

— Zgadza się — mruknął jakby do siebie. — Osiedlacie się w naszym powiecie? — zapytał odnotowując coś w dużym zeszycie.

— Tego jeszcze ja niepewny — bąknął Julcio i widząc znowu złą minę plutonowego dodał szybko: — Mnie tam wszystko jedno gdzie...

— To dokąd wy teraz?

— Znaczy się w odwiedziny do Klimka Janowicza, co ze mną służył w baterii...

— Byliście na wojnie i jesteście świadomym obywatelem?... — powiedział plutonowy i zamilkł, jakby czekał na Julciową odpowiedź.

— Niby tak — z konieczności mruknął Julcio.

— A więc najlepiej będzie, jak wy, frontowy żołnierz, osiedlicie się na tych ziemiach nad Odrą... — podoficer zaczął tłumaczyć byłemu kanonierowi, że na Ziemiach Odzyskanych jeszcze za mało ludzi, że trzeba tutaj jak najwięcej najlepszych Polaków.

W tym momencie usłyszeli na korytarzu pokrzykiwania i czyjeś ciężkie stąpanie.

— Ale daję dęba!... Uważaj, znowu chce wierzgnąć tyłem! — dolatywały do nich słowa zza drzwi.

Plutonowy wstał zły jak sam czort.

— Co się tam, do cholery, dzieje? — zaklął nie zważając na Julcia.

Podszedł do drzwi i szarpnął za klamkę, uchylił, ale zaraz usiłował szybko je zamknąć. Do pokoju ze spokojnym uporem laź Służbowy. Julcio z przerażoną miną, a wewnętrznie z trudnością powstrzymując się od śmiechu, podbiegł do mongołka i pogłaskał go po grzywie.

— Chodź, Służbowy — zaczął zawracać zwierzę — widzisz, ja też wychodzę — przemawiał do niego prosząco.

Mongołek posłusznie zawrócił, żołnierze rozstąpili się robiąc mu drogę. Julcio, trzymając mongołka mocno za grzywę, odwrócił głowę i powiedział do stojącego w drzwiach z rozdziawioną gębą plutonowego:

— Z nim trzeba po ludzku i po dobroci, to on wtedy spokojny.

Kiedy schodzili po kilku schodach z korytarza do wyjścia, plutonowy nagle się roześmiał i zaraz roześmiali się też inni żołnierze. Wszyscy wyszli na chodnik przed dom i długo patrzyli za malutkim żołnierzem odjeżdżającym na swoim mongołku.



## Mongolek i karawan

Przed domem Janowiczów stoją Klemens Janowicz i Julian Markieło.

— O, widzę, że ty sobie, Julcio, zabrał z baterii Służbowego — Janowicz z przyjaźnią szarpnął za grzywę konika, który radośnie odmajtnął mu swoim grubym ogonem.

Julcio z uciechy pokraśniał na gębie na myśl o niespodziance, jaką przyszykował Klimkowi.

— Toż ja przywiódł jego tobie, bo ty pisał, że twój koń zdechł — szepnął z wielkim przejęciem.

Janowicz zrobił nieporadną minę. Julcio nie domyślał się jeszcze niczego.

— Ty by mi lepiej kota przywiódł — powiedział Janowicz i Julcio zaczął pojmować, że Klimko nie ucieszył się wcale. — U nas na tę wiosnę rozpleniło się tyle myszy i szczurów, że zjadają, co popadnie w obejściu i w polu — dodał Janowicz, ale już łagodniej.

Julcio, straciwszy cierpliwość, na dobre się rozeźlił.

— Toż ja tobie Służbowego przywiódł! —  
wykrzyknął.

— Przecie widzę i słyszał, co ty mówił.

Janowicz znowu pogłodził mongolka.

— I ty tak nijak? — zapytał Julcio z pretensją. — Ty jego lubił, a i pisał, że nie masz teraz konia...

— Jucio, pojmij, ja jego lubię, ale toż to nie koń...

— A co? — zdurniał Julcio. — On mądrzejszy od wszystkich koni na świecie!

— Nie zaprzeczam. Służbowy mądrzejszy od innych koni, ale do gospodarki taki koń całkiem niezdatny, a jakby takie dwa, a nawet i cztery, to też trzymać nie oplata — tłumaczył Janowicz oglądając się niepewnie. — Wejdziemy do chaty, nie będziemy tak stali na dworze...

Ale Julcio na te słowa nawet nie poruszył się i Służbowy ciągle stał w miejscu.

— Znaczy, znaczy się... — jękał się Julcio — ty nie chcesz Służbowego? A ty tak konie szanował i jak my jechali do Dubowa na żniwa i ja dobił zdychającego gniadego, to ty mnie chciał zabić i potem ze mną nie gadał...

— Bo gniady był prawdziwy, jak się patrzy, gospodarski koń...

— To czy ja Służbowego miał zabić?

— Czemu zaraz zabijać, żeby było czym karmić, to i dobre to stworzenie i mój Józik miałby uciechę. Zaprowadzimy Służbowego i wejdziemy do chaty.

Janowicz otworzył stajnię, a Julcio rozglądał się bezradnie na wszystkie strony, jakby oczekiwał skądś ratunku albo nagle pomyślał o ucieczce, zaraz jednak spuścił głowę, biorąc za grzywę mongołka.

— Ja tobie nie pisał, że przywiode Służbowego, bo nie chcieli mi jego dać i ja pięć dni na jego zwolnienie sam zwolniony czekał...

Janowicz nic nie odpowiedział. Zamknął drzwi stajni za Służbowym i przystanął, przyglądając się Julciowi z uwagą.

— Jak my gospodarzyli w bobrzyńskim majątku, ty, Julcio, nabrechał, że z gospodar-ki? — po chwili zapytał jak jaki prokurator.

Julcio milczał odwrócony w bok.

— Tak i ja domyślał się tego wtenczas, ale nie mówił, bo nie był pewny.

— A po czym ty poznał? — nie patrząc na Klimka, zapytał Julcio.

— W tamten czas czy teraz?

— Teraz...

— Żeb ty był z gospodarki, tob nie przyprowadził mnie mongołka. I ty pierwszy ochotniczo wystąpił na żniwa do Dubowa?

— A co ja miał mówić, czy ja miał być gorszy! Ja chciał być z wami...

— A gdzie ty, Klimko?! — zawołała Zofia Janowiczowa, wychyliwszy się z okna — A, pan Julcio Markieło!!! — wykrzyknęła radośnie. — Czemu ty trzymasz na dworze takiego gościa!



Trzasnęły z hukiem otworzone drzwi i Zofia Janowiczowa z wielką serdecznością witała się z Julianem Markiełą. I zaraz ciągnąc do mieszkania, pytowała nie do wytrzymania, czy gospodarkę pan Julian obejmuje w Zagórsku, czemu tak długo trzymali jego w wojsku, czy żonaty i czy dzieciaki też ma?

— Jeszczem nie żonaty, pani Zofio — odpowiedział jej z elegancją.

— E, za naszym Julciem niejedna i Polka, i Niemka, a nawet Ruskie oczy wypłakują i dzieciaków Julcia nikt nie liczył — zażartował Janowicz.

— Zamilczy, ty! Pewnie nie był lepszy, a może i gorszy, a teraz niewinnego struga!

— Janowiczowa skrzyczała męża. — Ja na osobności popytam pana Juliana co do ciebie... Jak pan Julcio kawaler i weźmie gospodarkę w Zagórsku, to ja jego wyswatam raz dwa. Ja jeszcze nigdy nie swatała, a tak chciałab swatać jak nieboszczka ciotka Celestyna, co ją bulbowcy zabiły...

— Zszykuj co gościowi — przerwał jej rozkazująco Janowicz.

— Ach, ja całkiem zdurniała taką radością, że pan Julian przyjechał. — Chwyciła się za głowę i pobiegła do kuchni.

Klemens Janowicz i Julcio Markieło poczęli rozmawiać o znajomkach z baterii. Klimko powiadomił Julcia, że Olek Łoś od jakiegoś czasu prowadzi młyn kilka kilometrów od Zagórska, wspomnieli też Dembskiego, który jak

zawsze chytry, objął gorzelnię we wsi za jeziorem, też niedaleko stąd. Jeden tylko Broniek Wendyk osiedlił się w innym województwie, jest kierownikiem majątku. Janowicz, opowiadając o Zagórsku, wyraźnie namawiał Julcia do osiedlenia się tutaj.

Janowiczowa przyniosła jedzenie i butelkę samogonu, na co Julcio spojrzął po swojemu. Jeżeli żona trzyma wódkę, to całkiem rządy przejęła i już pewnie Klimko nie taki hardy jak w baterii, na przykład wtedy gdy wojował z samym ogniomistrzem Kłosem.

— Ot, my zapomnieli napisać, że pan Julcio gdzie po drodze kilkoro kotów kupił, tob my pieniądze zwróciły jemu — odezwała się Janowiczowa. — Mówią ludzie, że to Niemcy z mściwości, że my ich wygonili, zza Odry na naszą stronę wypuścili tego świństwa tyle...

— Nie gadaj dureństw — upomniał ją Janowicz, bo się za nią zawstydził. — Zima była letka, a okopowych, znaczy się, dużo nie wymarznętych pozostało w polu, to się ta zaraza rozmnożyła — wyjaśnił.

— A czego, jak jeszcze tutaj szwabę mieszkają, nie było tego paskudztwa tyle?

Janowicz popatrzył jeszcze gorzej na swoją żonę, szykował się już do zrugania jej, ale akurat wszedł Józik wpatrzony z ciekawością w małego żołnierza. Julcio dał mu zaraz orzełek i naszywki z kołnierza i chłopiec pędem wybiegł, żeby pochwalić się przed rówieśnikami.

Nieźle spitego Julcia zaprowadził Janowicz do pokoju na górę, gdzie do niedawna jeszcze mieszkali starzy Niemcy.

Na drugi dzień przy śniadaniu Julcio zapytał Klimka, czy ma wóz, na co ten odpowiedział, że ma, bo przecież miał ładnego konia, który nie wiezieć od czego zdechł, bo i weterynarz aż z powiatu tego nie wiedział.

— Może jaką zarazę myszy i szczury rozniosły? — dokończył Janowicz. — Niezadługo dostanę ja nowego, bo wpłacił już pierwszą ratę, sześć tysięcy.

— Zaprzęgniemy Służbowego i pojedziemy zobaczyć, czy tutaj ładnie — Julcio zagadnął przyjaciela.

— Ty chcesz Służbowego zaprzęgać do woza?...

— A czemu by nie? Nawet jak on najgorszy, to przecie wóz uciągnie.

— My jego w baterii nigdy nie zaprzęgali, a wierzchem jeździć dawał tylko tobie i ciębie jednego słuchał — odradzał Klimko.

— To i teraz mnie posłucha, nawet jak nikt jego nie zaprzęgał — z pewnością siebie odpowiedział Julcio.

— Może nie umieć... Ty zapomniał, jakie było skaranie boskie, jak my uczyli mongołki ciągnąć armaty?

Julcio już nic nie odpowiedział, bo wiedział swoje.

Tak, to prawda, Służbowy we wszystkim go słuchał, tyle tylko, że wcale nie umiał w wo-



zie chodzić. Jak tylko zaprzęgli do wozu i Julcio świsnął nad nim batem, mongołek szarpnął z całej siły, rwąc postronki. Ciągłe powtarzało się to samo. Za którymś razem prowadzony przez Julcia przeciągnął ze dwadzieścia metrów pusty wóz i Julcio był w siódmym niebie, a nawet zaraz przygadał Klimkowi, że nie wierzył w rozum zwierzaka. Uciecha Juliana Markieły tego dnia była wielka.

— Trzeba jakiś ciężar położyć, boż z puściutkim wozem nie będzie on całe życie chodził — powiedział Janowicz, kiedy na drugi dzień znowu wyszli uczyć Służbowego.

Tak też zrobili. Tym razem mongołek porwał uprzęż w kilku miejscach na raz.

— Miał ty rację, Julcio, silny to on nawet jest jak na takiego małego.

— Ja ci wieczorem pozszywam, a i mocniejszą z czego innego zrobię — Julcio smętnie odpowiedział, bo mu nie było wcale do śmiechu.

Jeszcze tego samego dnia Julcio przytargał skądś jakieś pasy i rzemienie, a nawet skórę do wycinania i wymieniał części w uprząży, a nowe postronki porobił silne jak z drutu. Męczył się przy tej robocie prawie do rana, bo był uparty i chciał postawić na swoim.

Kiedy wyszli na drugi dzień znowu uczyć Służbowego przekonali się, że mongołek przy całej swojej mądrości w trudniejszych jeszcze sprawach, w chodzeniu w wozie był naj-

durniejszy ze wszystkich koni. Zaprzężony do ciężaru, tym razem nie porwał mocnej uprzęży, ale nie mogąc ruszyć z kopyta, za każdym razem kładł się na ziemi. Kilka razy podnosili go siłą i wszystko powtarzało się dokładnie. Klemens Janowicz nic się nie odzywał, dawał wolną rękę Julciowi, który był honorowy i próbował wciąż od nowa.

— Podprowadzimy wóz o tam, a potem puścimy z górki — powiedział Julcio wskazując pagórek.

Przepchnęli wóz ze Służbowym w zaprzęgu na nieduży wzgórek i przystanęli. Julcio Markieło wszedł na furę, bo miał kierować lejcami, a Klemens Janowicz przy ruszaniu planowany był do prowadzenia mongołka za uzdę. I trzeba powiedzieć sprawiedliwie, że na początku szło nawet dobrze. Jak tylko jednak Janowicz puścił uzdę i przestał wstrzymywać rwącego do galopu konika, ten popędził jak szalony. Na nic zdało się zatrzymywanie mongołka lejcami, konik pędził z górki jak jakiś czort. W pewnej chwili skręcił nagle w bok i złamał dyszel, jednocześnie prawe koło zawadziło o drzewo przy drodze. Furmanka wywróciła się razem z Julciem, a Służbowy puścił się w pole przestraszony, a wolny już, bo przy zderzeniu z drzewem odczepił się orczyk. Julcio zaraz musiał puścić lejce, bo mongołek włókł go za sobą po ziemi i kamieniach. Zbaraniały Janowicz nie wiedział, czy Julcia ratować, czy też gonić przestraszonego

konia. Po chwili jednak bez trudu złapali go, bo zaraz niedaleko pasł się najspokojniej w świecie, jakby o wszystkim zapomniał.

— Żeb od młodości przyuczano jego do wozu, tob chodził on jak złoto — powiedział Julcio, gdy prowadzili Służbowego do stajni.

— A teraz to on już za stary, żeb jego nauczyć — odpowiedział Janowicz, a Julcio już nie stawał mu na sztorc.

Do wieczora nosili do stodoły wszystkie części do wozu, niewiele ze sobą rozmawiali, bo Julcio był bardzo smutny, czego wcale nie ukrywał.

— Ty się nie martw, ja tobie skombinuję pierwszorzędnny, nowiuški wóz, dopokąd ty dostaniesz nowego konia — Julcio powiedział to Janowiczowi na drugi dzień rano.

— Może przejdziemy się, Julcio, w pole — chcąc go rozerwać odpowiedział Janowicz. — I coś ja tobie pokażę przy sposobności.

Julcio kiwnął potakująco głową; nie z ciekawości zgodził się na pójście w pole, a tylko dlatego, że tego dnia było mu wszystko jedno, co będzie robić.

Kiedy znaleźli się na polu, Janowicz doprowadził Julcia do jednego zagonu.

— A cóż to takiego? Zboże wzeszło piętra-mi? I korytarze jakby kto wyciął, na przykład, sierpem?

— Na zimę moja Zośka zasiała pszenicę zmieszaną z jarą — wyjaśniał Janowicz. — Ta



większa to ozima, a ta marna to jara, wysiana na zimę.

Julcio nie bardzo rozumiał, nie był przecież z gospodarki, ale i tym razem nie dał tego poznać po sobie.

— A te korytarze wyjadły myszy — tłumaczył dalej Janowicz. — O tej zmieszanej pszenicy nie mów Zośce, bo ona i tak strapioną — poprosił. — Co ona winna? Oszukali kobietę i już.

Nie minęło i trzy dni, a Julcio Markieło przybiegł z radosną wieścią do swego przyjaciela.

— Będziesz ty miał, Klimko, pierwszorzędny wóz... Trzeba tylko trochę przerobić i po kłopotcie, ja tobie osobiście pomogę.

Janowicz patrzył z wyczekiwaniem na rozradowanego Julcia.

— Ten wóz jest u nauczyciela Łapińskiego.

— Nauczyciel nigdy mi nie mówił o wozie, choć my zachodzimy do siebie.

— Ale ja sam oglądał i Łapińskiemu on niepotrzebny!

Jeszcze tego samego dnia wieczorem poszli obaj do szkoły. Nauczyciel wziął latarkę i poprowadził ich do stodoły.

— Przychodzi pan Julian i pyta, czy potrzebny mi ten wóz, o którym dzieci mówią, że stoi w szkolnej stodole, ja mu odpowiedziałem, że niepotrzebny, a nawet zawadza. Tyle że aby nim jeździć po ludzku, trzeba

trochę przerobić, z czym po obejrzeniu i pan Julian się zgodził... — mówił do Janowicza Łapiński.

Po uchyleniu wielkich drzwi stodoły nauczyciel poświecił latarką. Klemens Janowicz rozeznał się momentalnie, że to jakiś niezwykajny wóz, ni to buda cygańska na kołach, ni to karetą, jakie widział w muzeum w samym Berlinie.

— Toż to karawan!

— Zastałem go w stodole i nie wiem co z nim zrobić. Już od jesieni nikt nie chce go zabrać.

Klemens Janowicz podszedł bliżej i zaczął dokładnie oglądać. Karawan był jak nowy, pomalowany czarną świecącą się farbą, z posrebrzаныmi listkami po bokach.

— I koła ma mocne jak czołg! — zachwycony powiedział Julcio Markieło.

— Pokazywałem go proboszczowi, ale on ma już jeden.

— Z takiego czegoś można zrobić furmankę na sto dwa! — znowu wykrzyknął Julcio.

Janowicz wciąż milczał.

— Czy godzi się taką rzecz przerabiać do gospodarki?... — powiedział wreszcie głosem niepewnym.

— Klimko, toż on niemiecki!

— Niemiecki, nie niemiecki, ale umarłe ludzie, co nim wożono, wszystkie jednakowe — odpowiedział z powagą Janowicz. — I choć niemiecki, to jakby rzecz święta.

— Jaka tam święta... Ot, wóz i już, tyle że trochę do przerobienia — pytlował Julcio. — A jak tutaj postoi, to zgnije i marnacja będzie.

Janowicz cały czas czekał na rozgrzeszające słowa nauczyciela.

— Nie bardzo się godzi — powtórzył.

— W samej rzeczy na mój rozum żadnego świętokradztwa z tego powodu być nie może. Sam proboszcz powiedział, żeby oddać jakiemuś gospodarzowi do przeróbki — odezwał się wreszcie nauczyciel.

To zapewnienie, zwłaszcza z przytoczeniem proboszczowych słów, wyraźnie uspokoiło Janowicza. Podobnie jak przedtem Julcio, zaczął obmacywać koła i podwozie; z zadowoleniem pomyślał, że ten karawan robił porządkowy majster.

— A ile on kosztuje? — zapytał.

— Nic. Przecież ja go nie kupowałem i on mi niepotrzebny, a tylko zawadza — odpowiedział Łapiński.

Janowiczowi nie wypadało brać za darmo i nastawał, aby nauczyciel wymienił cenę, ale on o zapłacie nie chciał nawet słyszeć.

— Ja wiem, że to mało... Ale niech pan weźmie — Jucio wyciągnął rękę do nauczyciela. — Za taki wóz można dostać czapkę pieniędzy.

W świetle latarki zabłysła pozłacana papierośnica, jedyny trofiej, jaki jeszcze został z wojny byłemu kanonierowi Julianowi Mar-



kiele. Nauczyciel wzbraniał się przed przyjęciem tak drogiej rzeczy, na co Julcio, który bywał przecież w świecie i spotykał uczonych ludzi, odpowiedział:

— To ode mnie i od Klimka pamiątka z wojny.

Na takie słowa nawet Łapiński nie miał już argumentów.

— Po prawdzie to i mocny on będzie, na dwa konie — odezwał się zadowolony Janowicz.

Jeszcze tego samego wieczora, nie chcąc tego robić w dzień na oczach ludzi, Janowicz z Julciem zaprzęgli się do karawanu i cichaczem powieźli wóz do stodoły Janowicza.

— A wiesz, Klimko, on bardzo letki, jak my jego z łatwością poradzili taki kawał — mówił Julcio idąc w zaprzęgu.

Janowicz nic nie odpowiedział, dopiero po zamknięciu karawanu w stodole zapytał:

— Nie szkoda tobie było, Julcio, pożłacanej papierośnicy?

— A co było robić, jak ja nie miał niczego innego, a bojał się, że taki dobry wóz pozostanie u nauczyciela?... To przecie ty przeze mnie zostałeś bez wozu — odpowiedział szczerze. — A jak już zostałeś zapłacony, to musowo było zabrać.

Rano Zofia Janowiczowa weszła po coś do stodoły i zobaczywszy, co tam stoi, rozkrzyczała się wniebogłosy. Janowicz wybiegł z chaty, bo skąd mógł wiedzieć, co się takiego

straszego przydarzyło jego Zośce? Zobaczył przed otwartą stodołą ledwie żyjącą, a już najpewniej to ledwo trzymającą się na nogach, wcale nie najlichszą swoją kobietę.

— Ty czorcie, antykrystowy synu, co ty postawił w naszej stodole?!

Klemens Janowicz objął żonę, bo wyglądało na to, że zaraz przewróci się ze słabości, ale ona wyrwała się i wcale z nie najmniejszą siłą odepchnęła go nienawistnie. Dalej darła się wniebogłosy.

— Czego ty na mnie tak nasiadła?! — krzyknął, ale jej nie przekrzyczał.

— Wywieź ty to zaraz, skąd wziął, bo z chaty pójde zabrawszy Józika!

Przechodzący drogą ludzie przystawali i patrzyli, co się takiego dzieje u spokojnych do tej pory Janowiczów.

— Toż to nic złego, ja jego wziął od nauczyciela, co też mówi, że nie ma w tym najmniejszej niegodziwości — usprawiedliwiał się Janowicz.

— Ja i ciebie, i twego nauczyciela!... Niech no on się tutaj pokaże! To ciężki grzech i ty przekleństwo ściągniesz na wszystkich!.. Ciebie otumaniono i ty pewnie na wojnie i wiary się wyrzekł?...

Zmęczona, nie bardzo wiedząc, co ma dalej robić, zapytała już ciszej, ale z nie mniejszym przest్రachem:

— A może ty i zabijał?...

— A co ja miał robić? — odpowiedział

szczerze Klemens Janowicz. — Prosto ty durnowata! Jakby ja nie zabijał, toby mnie zabito.

Janowiczowa znowu wpadła w krzyk, obrzucając swego Klimka najgorszymi, czortowymi i bezbożnymi wyzwiskami. Na szczęście zaraz poszła do mieszkania, bo Janowicz zszedł jej z oczu.

Od tego dnia Janowiczowa już nie lamentowała, po prostu nie odzywała się wcale do swego Klimka. W ponurym milczeniu stawiała jedzenie na stół i wychodziła. Nie powiedziała nic nawet wtedy, gdy podpatrzyła go majstrującego przy karawanie. Janowicz pojął, że gniew Zośki jemu na rękę, bo w spokoju może przerobić karawan na zwyczajny, gospodarski wóz. Tyle tylko, że odtąd wieczorem do chlewa czy po drzewo wychodził z Julciem na zmianę. Na to nie było rady, znał przecież dobrze swoją Zośkę.

Któregoś dnia Janowiczowa zobaczyła, jak pan Julian pomaga Klimkowi przerabiać karawan. Odtąd i na niego patrzyła złym okiem, ale nic nie powiedziała, bo był gościem.

Jakoś w tym samym tygodniu Julian Markieło powiedział Janowiczowi, że upatrzył mały pusty domek koło sołtysa i nawet już w nim zremontował jeden pokój dla siebie.

— A u nas tobie źle? A może ty wedle mojej?...

Julcio nie odpowiadał.

— Jeszcze kilka dni i jej przejdzie — uspokajał go Janowicz. — A kobieta i nie naj-



gorsza to, ale... — plątał się, bo co mądrego w tej trudnej sprawie mógł powiedzieć?

— Nie będę przecie dla was do śmierci ciężarem, a i objadam — powiedział Julcio, a pomyślał, że choć Janowiczowie nie skąpią, ile to razy z delikatności wstawał od stołu głodny.

— Przecie płacisz i przynosisz dobre jedzenie.

Julian Markieło nie posłuchał nikogo i przeniósł się jeszcze tego samego dnia do upatrzonego domku, bo nic nie miał do przewożenia. Zabrał bez pytania Służbowego, na co, ma się rozumieć, Klemens Janowicz nie powiedział ani słowa.

Kiedy Zofia Janowiczowa po tygodniu zobaczyła, że karawan jest już tak przerobiony, że nie rozpozna się w nim nic z niezwykajnego wozu, zaraz pogodziła się ze swoim Klimkiem.

## Myszy potrzebują kotów

Tak się złożyło, że w krótkim czasie Klemens Janowicz został jeśli nie najważniejszą osobą we wsi, to jedną z ważniejszych. Podo-  
bała się ludziom jego rozwaga we wszystkich sprawach, gospodarska natura i jego spokojny charakter. Janowicz nigdy z nikim się nie kłócił, bywało nawet, że wiele razy innych godził, co mu się udawało jak nikomu innemu. Zwykły przypadek także przyczynił się do tego, że Janowicz urzędowo też znalazł się pośród najważniejszych we wsi.

W marcu jeden osadnik z warszawskiego, którego ludzie wybrali podsołtysem, wyszabrowawszy wszystko z gospodarstwa uciekł ze wsi. Ludzie nie mogli sobie darować, że właśnie takiego człowieka wybrali podsołtysem. Skrywając swój wstyd, wyrzekali na warszawiaka, który ich tak strasznie pohańbił. Tylko jeden Klemens Janowicz wcale się tym nie martwił.

— To był ten Iwan, tylko nie ta czapka —

powtarzał słysząc ludzkie wyrzekania. — Uciekają te, co robić nie chcą i ziemi nie lubią, to i dobrze, bo po co lenie mieliby zawadzać we wsi? — pocieszał.

Zaraz potem zachorował sołtys Zagórski, który poszedł na kilka miesięcy do szpitala. W taki oto sposób wieś została bez sołtysa, a przecież spraw do załatwiania było bardzo dużo. Trochę ludziom pomagał nauczyciel Łapiński, ale wiadomo było, że robi to tylko z dobrej woli i tymczasowo. I właśnie dzięki podpowiedziom Łapińskiego, z czym wszyscy się zgadzali, wybrano podsołtysem Klemensa Janowicza, który faktycznie od razu we wsi został również urzędowo najważniejszy, zastępował przecież chorego sołtysa Zagórskiego.

Klemens Janowicz miał teraz po uszy roboty nie tylko na własnej gospodarce, ale i przy załatwianiu najważniejszych spraw dla wsi. Potrafił wyklócać się w gminie i w starostwie o wszystko, co się ludziom należało. Od chwili kiedy został wybrany podsołtysem, musiał mieć oko także na szabrowników.

Najważniejszą jednak teraz sprawą stało się zwalczanie zarazy mysiej. Takiej strasznej plagi najstarsi ludzie nie pamiętali. Miliony myszy niczym chmara szarańczy nie tylko zjadały słomę w stodole, ale potrafiły podgryzać młode ledwo wzeszłe roślinki zboża, a nawet jadły jabłka na drzewach, o czym dotąd nie słyszeli najstarsi ludzie. Stąd też co zaboronniejsi mówili, że najpewniej zbliża się ko-



niec świata. W przeciwieństwie do wielu innych Janowicz nie lamentował, choć nie mniej zamartwiał się mysią plagą, na którą nikt nie miał żadnej rady. I właśnie z powodu tej strasznej plagi koty stały się dla ludzi nie mniej ważne niż konie czy krowy. O koty nie było jednak łatwo, bo mysia plaga sięgała do najdalszej okolicy. Janowicz i Łapiński wciąż radzili nad tym, jak najmądrzej zwalczyć tę zarazę. Zaczęli od wywieszania w kilku miejscach we wsi zarządzenia. Kto zabije albo uszkodzi kota, zapłaci dwa tysiące złotych albo pójdzie do aresztu na całe dwa tygodnie. Ludzie czytali te ogłoszenia i nie było w tym dla nich żadnej śmieszności, bo wiedzieli, że tylko w kotach jedyny ich ratunek. Chodziły więc po wsi koty jak święte krowy, tak obżarte, o tak dużych brzuchach, że ledwo mogły się poruszać. Rzecz jasna teraz nikt kociąt nie topił, jak to było zawsze w zwyczaju, a jak się gdzieś pokazała kotna kotka, ludzie przy niej bardziej chodzili niż przy świńniaku czy koniu, dokarmiali ją nawet młękiem zabranym własnemu dzieciakowi. Bywały też pomyłki jak ta, co się przydarzyła Zofii Janowiczowej. Kiedy Janowiczowa dowiedziała się prawdy od weterynarza, który do nich zaszedł, wpadła w taką złość, że czym popadło, chciała upasione kocisko zabić.

— To ja zagroził i straszę wszystkich, a moja żona takiego wrednego chce się dopuścić!

— Janowicz skrzyczał swoją kobietę i odep-

chnął od kota. — Ja ciebie by musiał do aresztu oddać, bo zapłacić za twoją durnowość by nie myślał.

— Ta zaraza jadła i piła mleko dzieciakom odbierane! — pomstowała Janowiczowa.

— Toż to nie on durny, a ty, to i czego się wydzierasz? — usadzał swoją Zośkę. — Ale zaradzić tym hadom toby jakoś trzeba było — mruknął z troską, jakby już od samego siebie.

Któregoś dnia Klemens Janowicz razem z nauczycielem Łapińskim zwołali ludzi na zebranie w sprawie myszy, a dokładniej mówiąc, w sprawie tego, jak skombinować gdzie więcej kotów, bo te, które mieli we wsi, to była kropla w mysim morzu. Kiedy już zebrali się ludzie w remizie strażackiej, Janowicz z podwyższenia, gdzie siedział z nauczycielem Łapickim, zaczął krótko, jakby jeszcze naprawdę po kanoniersku:

— Myszy potrzebują kotów. Ot, i trzeba nam jak najwięcej kotów.

Ludzie na sali milczeli, bo każdy sam dobrze wiedział, czego teraz najpilniej potrzebują.

— Kota nikt dzisiaj nie dostanie w całej okolicy — odezwał się Kraśniak z kieleckiego. — Bo przecie myszy pełno w całym powiecie, a nawet i w województwie.

— Można by porobić pułapki — doradził Malaszkiewicz z wileńskiego.

— Jedna pułapka na jedną mysz, to ile

trzeba byłoby pułapek na milion myszy! — zaśmiał się w odpowiedzi Janowicz.

— U nas zawsze w chacie były pułapki i nikt myszy nawet nie zobaczywszy — upierał się wilniuk.

Na to już nikt nic nie odpowiedział, dały się tylko słyszeć głośne śmiechy na sali.

— Trzeba pole wysypać trucizną — zgłosił projekt Józef Krawczuk.

— Tob i chudoba wszelka wyzdychałab nam! — Janowicz aż podskoczył na swoim krześle.

Długo radzili i wciąż niczego nie mogli uradzić. Niektórzy z sali pytali o radę nauczyciela Łapińskiego, jakby w nim szukając ostatniego ratunku, ale on także nie miał żadnej mądrej rady.

— Może by my i dostali trochę kotów, ale ja słyszał, że jak kto gdzie sprzedaje, to za jednego kota chce dwa metry pszenicy — zaśpił się Janowicz. — Musowo nam więcej kotów, żeby mieli my ich wyrwać nawet spod ziemi!

— Trzeba znaleźć kilka kocurów, coby się potem wszystkie kotki kociły — powiedział ktoś z sali.

— Toć kot wtedy po chłopsku zrobiwszy swoje, jak jego pora, a bez pory to i zarzynaniem nie zmusisz jego do tego, a i kotki jeszcze bardziej. To nie to co żona, z którą kiedy zechcesz i ła zechcesz — zaśmiał się Malaszkiewicz.



— Ja słyszał od weterynarza, że to dla nich straszliwa boleść — odezwał się ktoś z powagą.

— Dyc to i prawda, bo się wtedy drą jak jakie nieboskie stworzenia — potwierdził Kraśniak.

— Pogadajmy o tym, skąd ich dostać jak najwięcej, a nie rozkazujmy dureństw — po kanoniersku odezwał się Janowicz. — A jak ktoś będzie jechał w swoje strony, żeb nas powiadomił.

Nic nie uradziwszy rozeszli się do domów.

— Ja mam znajomka z baterii, Dembski jego nazwisko, on niedawno objął gorzelnię w majątku za jeziorem — powiedział Janowicz do nauczyciela po wyjściu z remizy.

— Niedawno i ja go poznałem, bardzo przyjemny człowiek, pomógł mi załatwić ławki dla szkoły — odpowiedział Łapiński.

— Ot, i on nas poratuje.

— W jakiż to sposób? — zdziwił się nauczyciel.

— Pojadę do niego z Julciem i przywieziemy spirt, a za niego dostaniemy kotów do czorta — wyjaśnił Janowicz.

Na drugi dzień Janowicz wyciągnął z Julciem ze swojej stodoły mocno i dobrze obitą szafę przysposobioną do pływania i podpłynęli na drugą stronę jeziora. Na jeziorze żywej duszy, więc nikt ich nie przyuważy, jak będą wieźli spirytus z gorzelni. Płynąc widzieli po-

kiereszowane, do góry brzuchem wywrócone ryby, od których widoku odwracali głowy.

— Jakoweś ancykrysty prawie co noc rzucają do jeziora granaty — odezwał się Julcio.

— Jakbyż ja takiego dostał w swoje ręce, toby wybebeszył jego jak te ryby! — wygrażał Janowicz.

Po godzinie byli już na drugim brzegu. Wyszli w las i zaraz po kilku krokach natknęli się na zabita sarnę.

— Jakby te ludzie byli wychowane w lesie jak my na Wołyniu, toby się kary boskiej bali... Że też takiemu ręka nie uschnie!

Janowicz zaklął po ukraińsku. Obaj przez las szli milcząc. Julcio wiedział dobrze, że w tym milczeniu Klimko nad czymś przemyśliwuje na wszystkie strony.

Dembski przyjął starych znajomków z wielkim sercem. Zaraz, ma się rozumieć, wyciągnął spirytus i zaczął ugaszczać. Widzieli, że Dembskiemu, podobnie jak w baterii na olejarni, i tutaj niczego nie brakowało. Pijąc i jedząc wspominali front, najwięcej jednak mówili o gospodarowaniu w baterii w Bobrzyńsku. W jakimś momencie Janowicz wyjawiał, z czym przyszedł, a Dembski i tym razem nie poskapił. Dostali dziesięć litrów spirytusu, od razu dobrze zabezpieczonego w skrzynce wymoszczonej pakułami.

— Nie dalej jak trzy dni temu nazad był już drugi napad — powiedział Dembski, kiedy zabierali się wychodzić.

— Na pociąg, ja też o tym słyszał — przytaknął Julcio.

— Na moją gorzelnię. Jakieś zawiązane pończochami czorty z karabinami, a jeden z naganem, wyłamali bramę i wywlekli mnie w koszuli... Zabrali dwadzieści litrów spirytu...

— Dembski z żalosnym pojękiwaniem zamilkł.

— W lesie po twojej stronie jeziora ktoś zabija zwierzynę — dorzucił Janowicz. — To pewnie kłusownicy ze wsi za gorzelnią.

— Rano po napadzie znalazł ja mocno wgniezione ślady co wchodziły do jeziora — wyjaśniał Dembski. — Jejbohu, że to z waszej wioski.

— Może być — potwierdził Julcio — bo i ryb granatami ktoś dużo natłukł.

— Daję ja wam dziesięć litrów spirytu i dam więcej, ale to już wasze głowy, żeb wy bandziorów znaleźli, bo jak tak dalej pójdzie i co noc będą przychodzić, zabiorą do ostatniej butelki — żegnając się powiedział Dembski.

— Rozglądniemy się, a może i jaki sposób znajdziemy — odpowiedział zamyślony Janowicz i Julcio wiedział, że ma on już jakiś wyraźniejszy plan.

Przenieśli skrzynkę ostrożnie przez las, załadowali na szafę i cichutko a powoli odpłynęli.

Na drugi dzień Klemens Janowicz zaczął działać bardziej po kanoniersku niż po sołtysowsku. Już z samego rana zawołał Mrozika, który mówił, że pojedzie w swoje strony do



Poznańskiego i krótko całą rzecz wytłumaczył.

— Pan się zgodził w razie czego być pomocnym? — najpierw zapytał chytrze.

— To i ja się nie wycofuję — odpowiedział Mrozik.

— Tak i weźmiecie ze swoim Fredkiem te dziesięć litrów spirytusu i kupicie za to kotów, ile się da.

— Jedziem za trzy dni, zara po niedzieli.

Po godzinie Mrozik przyszedł ze swoim Fredkiem i zabrali skrzynkę do domu. Janowicz pojechał orać pole, zabrawszy ze sobą dwa koty, które miał w chacie. On orał, a koty szły za nim bruzdami i wybierały myszy. Po niecałych dwóch godzinach już kociska leżały leniwe od przejedzenia, że nawet batóg ich nie mógł ruszyć z miejsca. Na szczęście po myszy przylatywały coraz to nowe stada wron.

Wieczorem przyszedł do Janowiczów Julcio Markieło, bo nie było dnia, żeby do nich nie zaszedł. Julcio od razu zaczął rozmowę o bandytach, co zwierzynę i ryby wyniszczają.

— Co noc nikt nie będzie pilnował, a i zastrzelić mogą sukinsyny, boż te bandziory już niczego nie szanują!... — pomstował Janowicz.

— Trza milicję zawiadomić — powiedział Julcio.

— Milicję? — zdziwił się Janowicz. — Toż ich w całej gminie dwóch, a wiosek do czorta i wszędzie szabrowników jak tych myszy nie przymierzając.

Janowicz na moment zamyślił się.

— Ot i ja myślę, że wymyślił — powtórzył z sekretnym zadowoleniem. — Ja posiadający służbowo karabin i dla ciebie się postaram... Ot i zaczniesz zapisywać do koła łowieckiego. Ja słyszał od znajomka, że ludzie w jednej wsi pod Cedynią takie koło zrobili, jak jakie pany przed wojną.

Julcio patrzył nic nie rozumiejąc.

— Niedoczekanie ich. Ogłosimy, żeby wszystkie z bronią się zapisywali — Janowicz wyjawiał swoją chytrą.

— Czy zechcą się zapisywać, kiedy i tak kłusują, ile chcą, a i do tego napadają, i szabrują, co chcą?

— Zawiadomimy, że zarobek będzie od sztuki zastrzelonej, i obiecamy, że będziemy kupować patrony i jak się któremu fuzja albo karabin zepsuje, to naprawimy darmowo... A możemy i jeszcze co obiecać...

Teraz dopiero Julcio pojął, o co szło Klimkowi.

— Trzeba powiadomić, żeby zgłaszali się też z naganami — podpowiedział. — Przecie jeden z bandytów, jak mówił Franek Dembski, miał nagan.

— Tak to i ogłosimy, że z wszelką bronią przyjmujemy, jaką kto tylko ma... A jak już będziemy wiedzieć, kto ma broń, to...

Już na drugi dzień wisiały we wsi wielgachne sołtyśowskie obwieszczenia o tym, co urządzili, tyle że po urzędowemu, chytrą napisane, żeby nikt ani pomyślał, w czym główna rzecz.

Układać ogłoszenia pomagał sam nauczyciel Łapiński. Odtąd czekali z niecierpliwością.

Julcio Markieło i Janowicz stali na podwórku, u Janowicza.

— Jutro pomogę tobie, Klimko, przy oraniu.

— Jutro mnie musowo jechać do gminy względem koni z Unrry.

Julcio chciał już odchodzić, ale raptem rozmyślił się.

— Wiesz, wypytywali mnie młode Sareckie, czy to prawda, że będą płacić za upolowaną zwierzynę i dawać naboje.

— Ja ich od dawna miał na oku — odpowiedział Janowicz uradowany tą wieścią.

— Mnie powiedzieli, że to nie o nich chodzi, bo oni nie mają broni, ale pytali ich o to inne.

— Ja już o czymś pomyślał... — Janowicz urwał zamyślając się.

— Czy do ciebie ktoś do tej pory się zgłosił? — zapytał Julcio.

— Jeszcze nie, ale jak zgłosi się jeden, to zaraz przyjdą wszystkie, a my wtedy zrobimy, co trzeba i będziemy bandziorów mieli w rękach.

— A jak się nie odważy ani jeden?

W tej sekundzie zaszczekał pies, więc odwrócili się do furtki. Szli do nich Mrozik i jego syn Fredek, dźwigali skrzynkę po spirytusie. Widząc ich Julcio pożegnał się z Klimkiem.

— Szybko wy powrócili.



Janowicz przez moment wpatrywał się w skrzynkę, którą przed nim postawili Mrozikowie.

— A kiedy przyniesiecie pozostałe, żeb ja wiedział, ile ich wszystkiego, i sprawiedliwie przydzielił do gospodarstw.

— Przywieźlim tylko dwa, bo w nasze strony po koty przyjeżdża tyle ludzi co na Jasną Górę — odpowiedział rezolutnie Mrozik.

— Tylko dwa koty za dziesięć litrów spirytu?! — Janowicz wykrzyknął zły jak sam Łucypher. — Toż ja za kilka litrów kupił dla wsi dwie krowy, a i konia dostał za spirt nie tak dawno!...

— Trochę to nam się stłukło, a ludzie chcieli po cztery litry za kota — usprawiedliwiał się Mrozik. — Jak Boga kocham, żeby nas Pan Bóg pokarał, jeśli nie mówię prawdy — zaklinał się. — Niech Fredek zaświadczy — odjętą od piersi ręką pokazał swego syna. Fredek pokornie potaknięciem głowy potwierdzał ojcowe słowa przysięgi. — Przywieźli my za to dużo kiszonej kapusty.

— Po jakiego czorta mnie kiszona kapusta?

Janowicz ciągle patrzył z nieufnością, ale już nie pokrzykiwał, bo nie mógł niczego Mrozikom udowodnić. Wziął koty i zaniósł po jednym do dwóch najbliższych sąsiadów. Ludzie z sercem dziękowali wyciągając poczęstunek samogonowy, ale on tego dnia u nikogo nie wypił ani kieliszka, bo wiedział, że myszy jak dawniej będą żyć po pańsku. Te

dwa nowe koty niczego przecież nie zwojują.

Któregoś dnia zaraz potem Janowicz pojechał furmanką do gminy. Już z daleka zobaczył Mrozika i jego syna Fredka; stary orał, a młody poganiał konia. Pomyślał na ten widok, że u nich na Wołyniu nikt we wójkę nie potrzebował orać. Po chwili stary zaczął orać sam, a Fredek zbierał coś z zaoranych bruzd do worka.

— Szczęść Boże! — wykrzyknął Janowicz, zatrzymując konia przy zagonie Mrozików.

— Bóg zapłać! — odpowiedzieli obaj naraz i podeszli do Janowicza.

Po zaoranym polu człapały trzy obżarte koty. W tej sekundzie Janowicz zauważył dwa leżące na polu worki, które poruszały się jak żywe.

— A cóż to wy myszy łapiecie do worków? — zażartował.

— A gdzie by tam... — jaskając się odpowiedział Mrozik.

Janowicz spostrzegł, że jeden worek najwyraźniej przeszedł z metr i zaraz stanął prawie na sztorc. Raptem wyskoczyło z niego kilka przestraszonych kotów.

— Ot, Fredek, ty nie zdążył dobrze zawiązać worka.

Mrozikowie odwrócili się i zawstydzeni patrzyli bezradnie na rozbiegające się we wszystkie strony koty.

— Bo wie pan, sołtysie, tego świństwa na naszym polu najwięcej, jakby kto nasłał —

usprawiedliwiał się stary Mrozik. — Jak Boga kocham, na żadnym drugim polu nie widziałem tyle myszy — przysięgając bił się w piersi.

— Wszędzie tego gadztwa do czorta! — Janowicz odezwał się głośniejszym głosem: — Ot durny wy, Mrozik, toż jak tylko z waszego pola, dajmy na to, koty wyjedzą wszystkie myszy, przyjdą do was z mego albo z pola Zagórskiego i ze wszystkich innych.

Obaj Mrozikowie stali zacięci w milczeniu, z zawstyżenia nie patrząc na swego sołtysa.

— Toż ja chciał ich sprawiedliwie do ludzi na żywienie rozsiedlić i wy nie musielib takiej chmary karmić same.

— Pójdę, ojciec, rozwiązać drugi worek, bo się poduszają — odważył się wyszeptać Fredek i poszedł do worka, z którego już i kocie miauczenie dało się słyszeć.

— Zatrzymajcie sobie, jak ich tak długo żywili, a ja podpale osę na ugorach, o tutaj wokoło, to się zleci pod zęby waszych kotów chmara tej hadkości — Janowicz znowu mówił śmiejąc się. — I wasze koty będą miały lepiej, boż zagłodzilib wy stworzenia na tym małym zagonie.

Zanim Janowicz cmoknął na konie, wykrzyknął jeszcze do Mrozików:

— A spirytus, coście wydali na ukradzione koty, będziecie spłacać po litrze w tygodniu, to za to co też dla całej wioski będziemy potrzebnego kupować!



— Patrz, Klimko, jedzie ten w skórzanej kurtce, co przyjeżdża często do Sareckich — szeptał Julcio. — Ja jego znam i poprobuję zagadać.

Janowicz przystanął i spojrzał pytająco na Julcia, ale ten nic nie odpowiedział.

— Dzień dobry panu! — prawie wykrzyknął Julcio, kiedy furmanka zbliżyła się do nich. — Pan od Sareckich?

— A bo co? — odpowiedział człowiek na wozie, ale nie zatrzymał koni.

— My przecie znajomki — powiedział łagodnie Julcio.

— Nie przypominam.

Furmanka zrównała się już z nimi. Na wozie stała przykryta beczka i stół.

— Niech się pan zatrzyma na papierosa, bo sołtys mógłby pomyśleć, że to ktoś podejrzany — Julcio wskazując Janowicza wyciągnął machorkę.

Człowiek w skórzanej kurtce zatrzymuje się z widocznym przymusem. Julcio podaje mu machorkę i bibułę. Janowicz przygląda się ze zdziwieniem.

— A nie wiecie pan w tej beczce dajmy na to samogonu? — pyta od niechcenia Julcio.

— To masło na targ, Sareckich i ich sąsiada — odpowiada obcy.

— Tak dużo? — dziwi się Julcio.

— A dużo, Sareckie mają cztery krowy, a ich sąsiad dwie.

— A po co ten stół?

— Poreczniej ze straganem.

Janowicz cały czas milczał. Raptem zobaczył, jak Julcio zwinnie wspiął się na wóz i popchnął beczkę, jakby chciał ją przewrócić.

— Dość tych wygłupów, mnie się śpieszy!  
— zdenerwował się obcy i cmoknął na konie.

W jednej sekundzie Julcio rzucił się na obcego. Razem z nim zwałił się na ziemię. Zaczęli się szamotać.

— Co ty, Julcio, zdurniał?! — krzyknął Janowicz.

— Wsadź rękę do beczki! — wycharczał duszony Julcio.

Janowicz szybko wskoczył na wóz i wsadził rękę aż po łokieć do masła. Zaczął coś wyciągać.

— To peem! — krzyknął trzymając automat oblepiony masłem.

W tejże chwili człowiek w kurtce oderwał się od Julcia i wskoczył na furę chwytając za lejce. Janowicz dokładnie wymierzywszy rąbnął go peemem w głowę. Przestraszone konie ruszyły galopem, ale on trzymał już lejce. Na wozie leżał jak nieżywy zakrwawiony woźnica.

— A to bandzior sukinyński! — krzyczał Julcio podbiegając do wozu.

Przy nich stało już kilka osób ze wsi.

— Trzeba związać hada — Janowicz rozglądał się za jakimś sznurkiem.

Ktoś podał mu pasek od spodni.

— Jest też drugi! — Julcio wyciągnął z masy drugi automat.

— A może ja go zabił na śmierć? — przestraszył się Janowicz.

— Nic czortowi nie będzie — odpowiedział zdyszany jeszcze Julcio. — Ludzie, dajcie no jaką siekierę!

Janowicz popatrzył z przestachem.

— To przecie nie na niego — odpowiedział Julcio.

Po chwili trzymał już w ręku siekierę. Rąbnął nią po stołowych nogach, które rozleciały się, jakby były z tektury. Z ich środka wyleciały złote zegarki, bransolety i pieniądze. Kiedy skończył rozbijanie stołu, odrzucił siekierę i patrząc z dumą na rozsypane drogoceńności, powiedział:

— Teraz, Klimko, kupimy za to ze sto kotów!

Ruszyli w stronę niedalekiej wsi Topolewo, gdzie był posterunek milicji.

— A jak ty poznał? — zapytał krótko Janowicz.

— Toż on zażyły z Sareckimi i często przyjeżdżał do nich, nie pokazując się w wiosce — odpowiedział Julcio.

— Teraz i bez zgłoszenia się Sareckich do koła łowieckiego będziemy ich mieli w ręku — Janowicz odwrócił się, słysząc jęk związanego.

— Wyłapiemy ich wszystkich jak myszy — roześmiał się Julcio rozcierając siniak na czole.



— Co ty zdurniał, że myszy tobie bez przerwy w głowie? — odpowiedział Janowicz złym głosem.

— Przecie ty sam tak się przejmował tą zarażą? — zdziwił się Julcio.

Janowicz nie odpowiedział, poganiał konie zamyślony, jakby nawet smutny. Julcio, jak bywało już nieraz, nie pojał i tym razem tej raptownej odmiany Klimka.

## Zuzia, krowa i mysz

— To ty zapisał się do milicji?

Julcio zamrugął oczami, bo jeszcze nie wiedział, czy Klimko pochwała go, czy też gani.

— Do gorzelni chodzić ja już nie mógł, bo to nie dla mnie robota. A jak wracał do pustego domu i nie było się do kogo odezwać, to mnie czort brał.

— Teraz ty też przychodzisz do pustej chaty — znowu Janowicz.

— Teraz powracam, żeb się wyspać tylko, bo do nocy ja na nogach w służbie. Ty widzisz, ile dokoła szabrowników i wszelkiego tałatajstwa?

Janowicz chwilę milczał.

— Ja myślał, że ty weźmiesz gospodarkę.

— Kiedy ty wiesz, że ja nie z gospodarki i jakież byłby ze mnie chazjain?

— Toż ty się w baterii niejednego wyuczył robiąc z nami — zachęcał Janowicz.

— Ja sam, to i po jakiego czorta mnie ziemia?...

— Toby ty wziął jaką kobietę i byłoby jak trzeba.

— A co ty mający na sztorc, że ja w milicji? — odważył się Julcio. — Przecie teraz potrzebują milicjantów i na całą gminę, ze mną wzięwszy, tylko trzech.

Janowicz podparł się kułakiem pod brodę, wpatrywał się w swego przyjaciela.

— Ja nie żaden wróg, ja tylko myślał, że ty weźmiesz gospodarke, bo ziemi tyle się marnuje — przekonywał dalej. — A Zuzia Felczak leci przecie na ciebie: ona i robotna, i kulturalniejsza od wszystkich panienek we wsi. Raz dwa, sklep by rzuciła i żyła z tobą, jak Pan Bóg przykazał.

Julcio na te słowa pokraśniał jak jaki podlotek, wierząc się na krześle. Jego nie największa osoba jakby jeszcze zmalęła o połowę.

— E, nie gadaj dureństw — szepnął.

Na szczęście Janowicz zaraz zszedł z jego osoby. Wyjął pół litra samogonu i gadając o wszystkich wioskowych sprawach, posiedzieli w łagodności przez godzinę jak za niedawnych bobrzyńskich czasów. Po godzinie przyszła Zofia Janowiczowa z Józikiem i pan Julian zerwał się, że musowo jemu jechać na posterunek, bo i tak dzisiejszego dnia spóźnił się hadko. Nie zatrzymywali, bo nie wypadało nie uwierzyć, zresztą do posterunku w Topolewie było dobre trzy kilometry.

— Czy to prawda, Julcio, że ty przyłapał



szabrowniczkę, co miała uwiązany między nogami woreczek ze złotymi pieniędzmi? — zapytał go na odchodnym Klemens.

Julcio nie zdążył niczego nawet odmruknąć.

— Ty, Klimko, stary a durny! — skrzyczała męża Janowiczowa. — Toż i dobrze takiej, co się jej zachciewa letkiego życia! Żeb więcej było dobrych milicjantów, toby ludziom odechciało się szabrować i kombinować — pochwalała pana Juliana.

Od kiedy Julian Markieło został milicjantem, cała wieś go chwaliła. Słyszeli Janowiczowie nie tylko o tym, że u jednej chytrej kobiety Julcio wyszperał złoto (domyślił się wszystkiego po jej pokraczynym chodzie), ale i o wielu innych jego uczynkach jako milicjanta. A sam Janowicz wszystkim opowiadał o nakryciu przez Julcia człowieka w skórzanej kurtce, który wioził od Sareckich pistolety w beczce z masłem i drogocенności w nogach od stołu. I tak po prawdzie to dzięki Julciowi przyznali się wreszcie bracia Sarecy do posiadania karabinów, a nawet do tego, że należą do bandy.

Po wyjściu od Janowiczów jak co dzień od przeszło miesiąca Julcio pojechał na swoim mongołku na posterunek do Topolowa. Jechał w wyblakłym mundurze żołnierskim, z karabinem na plecach i biało-czerwoną opaską na rękawie z dużymi literami MO. Widok małego milicjanta na malutkim mongołku tylko na początku ludzi śmieszył, teraz wszyscy

kłaniali mu się nisko. Tylko ci, co mieli coś na sumieniu, omijali Julcia z daleka, nie chcąc mu wchodzić w drogę. Milicjant Markieło jak na złość coraz więcej takich znajdował, choć przed nim uciekali jak diabeł od święconej wody. Tym razem jechał w zamyśleniu, jakiś markotny, nie wypatrujący jak zawsze wokoło, po snajpersku. Po niecałej godzinie, zostawiwszy Służbowego na podwórze, zameldował się przepisowo komendantowi.

— Przestań ty z tym drylem — odpowiedział komendant Józek Wiśniak.

Julcio usiadł i zaczął zwijać skręta.

— Wiesz, Julek, to pierwsze od dłuższego czasu popołudnie, kiedy nie ma pilnej roboty i od rana nie mieliśmy żadnego wezwania — mówił do Julcia jego komendant najprawdziwszy, który miał na pagonach jedwabiste dwie belki. — Tobie, Julek, należy się jakaś nagroda, a ty nawet pensji jeszcze nie dostałeś. Sam komendant wojewódzki pochwalił nas za tego w skórzanej kurtce.

— Ty też nie dostał ani Stefan, choć on o wiele dłużej ode mnie w milicji — powiedział Julcio i spojrzał w okno. Upewniwszy się, że Służbowy stoi sobie na podwórze z psem, z którym jakby się dogadywał, co można było poznać po kiwaniu łbem i strzyżeniu uszami, rozparł się wygodniej na krześle.

— Przyszykowałem dla ciebie coś, co będzie i nagrodą, i zadatkiem wynagrodzenia — powiedział Józef Wiśniak. Na chwilę zamilkł,

uśmiechając się. — Dam ci krowę, którą z wdzięczności przyprowadzili mi żołdacy z majątku.

Julcio aż podskoczył na swoim siedzeniu.

— A po co, Józek, mnie krowa, toż ja sam i ziemi nie brał żadnej? — odpowiedział zapalczywie.

Józek Wiśniak popatrzył na niego ze zdziwieniem, bo przecież spodziewał się podziękowania.

— Chyba że dla Klimka Janowicza — mruknął Julcio.

— A co chcesz, to z nią rób, sprzedaj albo na co wymień, nie moja sprawa. Najważniejsze, że będę spokojniejszy, żeś coś dostał.

I poprowadził Julian Markieło krowę Klimkowi Janowiczowi. Krowa była tłusta, że tłuszciejszą w tym chudym czasie rzadko widziało się w okolicy. Teraz Klimko nie wyśmiewa go jak wtedy, gdy przyprowadził mu Służbowego, stworzenie najmilejsze od swojego serca odrywając. Za taką krowę można teraz dostać majątek, odpłaci się Klimkowi za jedzenie, kiedy u nich przemieszkiwał. W połowie wsi przypominał sobie, że miał zajść do Olka Łosia do młyna, nieporęcznie jednak było targać ze sobą krowę. Przyobiegał Łosiowi, że wpadnie do niego, aby pojechać razem do miasta po pasy, których Olek nie może dostać od biurokratów miastowych na potrzeby swojego młyna. Olek Łoś prosił Julcia Markiełę, żeby z nim jechał, bo wiadomo, że jak poje-



dzie z milicjantem, to mogą mieć większe posłuchanie u urzędników. Przykazał więc sobie Julcio, zabożywszy się w myśli, że obowiązkowo jutro zajdzie do młyna umówić się względem wyjazdu.

Julcio jadący na Służbowym pociągnął za powróż, bo krowa zaraz za wioską co krok przystawała, żeby skubnąć trawę. Na tracenie czasu nie mógł sobie pozwolić, chciał przecież jak najszybciej radość zrobić Klimkowi. Zaczął gęsto kłać krowisko, wyzywając ją od najgorszych, ale na nic to się nie zdało. Raptem wpadł po kanoniersku na pomysł. Zszedł ze Służbowego i zostawił uwiązane stworzenie z mongołkiem, odszedł na bok drogi. Był spokojny; bo wiedział, że jego konik już dobrze przypilnuje krowy i nigdzie jej nie puści. Nie z takimi stworzeniami Służbowy miał do czynienia i zawsze sobie chytro poradził. Ułamał długi a cienki kij, ostrugał nożykiem gałęzie i wrócił na drogę. Pociągnął krowę na powróż, wstrzymując przy tym mongołka. Od tego czasu krowisko szło posłuszenie, bo okładał ją kijem, gdy przystawała. Służbowy, który był najmańdrzejszym koniem na świecie, zaczął Julciowi pomagać pojawiając się, w czym rzecz. Teraz nawet kiedy Julcio zagapił się i nie dołożył krowie, jak przystała, mongołek podgryzał ją w zadek. Po takim chytrym mongolim przygryzieniu krowa przyspieszała i szła szybko, najpewniej boleściwiej czuła na swoim zadku delikatne

zabki Służbowego niż Julciowe razy kijem.

Przed samym Zagórskim krowa, dotąd leniwa i cicha, nagle zaczęła porykiwać. Julcio pieklił się, ale przecież pyska jej nie mógł zatkać, na to ani on sam, ani Służbowy nie mieli rady. Wjeżdżał do wioski jakby na parze stworzeń, na mongołku i na krowie, a wjazd jego przez to krowie porykiwanie był głośny. Spotykani ludzie z ciekawością wpatrywali się w ich trójkę, bo dotąd byli przyzwyczajeni do Juliana Markieły jadącego tylko na mongołku. Widać i z innych powodów bardzo ich ciekawiła krowa, bo najbardziej na nią patrzyli. Pewnie myśleli, że gdzieś skombinowana albo wyszabrowana. Kiedy znaleźli się przed kościołem, Julcio odetchnął z ulgą: jeszcze tylko trzy domy i będzie u siebie. Jak na złość akurat z kościoła wyszedł proboszcz.

— Niech będzie pochwalony — powiedział ksiądz, bo i on jak wszyscy w wiosce lubił Julcia. — Pewnie zarekwirował pan jakimś złodziejowi? — zapytał sługa Boży, jak sam o sobie mówił w niedzielę z ambony. — Za taki dobry uczynek odmówię na twoją intencję, synu, różaniec na trzysta dni odpustu.

— Na wieki wieków — odpowiedział Julcio i był zły na księdza jak nigdy dotąd. — To służbowa — powiadomił proboszcza.

— Pan Julian ma służbowego konika, a teraz chce powiedzieć, że ma też służbową krówkę — zażartował nauczyciel Łapiński,

który też jak na złość spod ziemi wyrósł przed Julciem; pewnie szedł do księdza, który zawsze o tej porze kończył mszę. — To już para jak w Arce Noego, szkoda tylko że z rozmnażania się nic nie będzie.

— Dałbyś spokój, Janie, nie godzi się — przerwał Łapińskiemu proboszcz i zaraz obaj poszli w stronę plebanii.

Julcio z tego skorzystał i rąbnął kijem krowę, aż odwrócili się za nim ksiądz i nauczyciel, ale on już tego nie widział.

Uwiązał krowę w stajni obok mongołka i zaraz zauważył markotną minę Służbowego, najwyraźniej nie był on zadowolony ze swojej sąsiadki, bo zachowywał się niespokojnie jak zawsze, kiedy coś go złościło. Rzucił zwierzakom siana i kiedy tylko wszedł do domu, krowa znowu rozryczała się wniebogłosy. Natychmiast wrócił do stajni w obawie, że może Służbowy zrobił jej jakąś krzywdę. Mongołek stał odwrócony tyłem do krowy, jakby miał w pogardzie gorsze od siebie stworzenie. Krowa nie przestawała porykiwać. Nagle Julcio zobaczył jej obrzękłe, rozparte wymiona z rozstawionymi we wszystkie strony dojkami. Dlatego ona ryczy, Bóg jeden wie od kiedy nie dojona. Przyniósł z mieszkania wiadro i zabrał się do dojenia. Mimo że wymię było obrzękłe i ciągnął za dojki z całej siły, zaledwie po kropelce skapywało do wiadra.

— Kto to widział tak doić krowę? Przecież pan Julian zameczy ją na śmierć i nie wydoi



nawet do jutra — usłyszał nad sobą kobiecy głos; był tak bardzo zajęty dojeniem, że nawet nie zauważył, że ktoś wchodzi do stajni.

Julcio drgnąwszy odwrócił się. Za nim stała Zuzia Felczak. Nie zdążył się nawet porządnie na nią rozzłościć, a już przykucnęła przy nim.

— Mężczyzna nie może obyć się bez kobiety — powiedziała przymilnie. — I nigdy nie nauczy się babskiej roboty. O, tak trzeba doić, palcami, a nie całą dłonią — pokazywała odsuwając go od krowy.

Teraz dopiero mleko zadudniło w wiadrze jak największy deszcz o blaszany dach. Julcio wrócił do chaty; po niedługim czasie Zuzia przyniosła wiadro z mlekiem.

— To złoto nie krowa, spokojniutkie to przy dojeniu, a daje tyle, że i więcej najrasowsza z krów nie da — powiedziała z zachwytem. — Bauer, u którego służyłam, miał najlepsze krowy w okolicy, ale żadna z nich nie dawała tyle mleka co ta.

— Boż tej pewnie nikt nie doił przez tydzień, to się uzbierało! — ze złością odpowiedział. — A dobre z niej czorcisko, uparte jak osioł i ryczy jak zarzynany wół.

Spoglądał spode łba na dużą, zdrową i przy kości Zuzię, zniecierpliwiony czekał, kiedy się ona wreszcie wyniesie. Od dwóch tygodni przylatywała ot tak, niby zawsze przypadkowo. Stale znajdowała jakąś przyczynę, raz młotek pożyczyć, innym znów razem za na-

rzędzia pożyczone z wdzięczności przynosiła jedzenie. Julcio wstał, żeby wziąć zapalki, Zuzia skorzystała z tego i zaraz przysunęła się do niego. Chwilę tak stali przy sobie, malutki Julcio i Zuzia o głowę od niego wyższa. W tejże chwili Julcio speszył się: zawsze w całtchim swoim życiu — jakby kto rzucił na niego przekleństwo — miał szczęście do wielkich dziewczyn i takie wielgachne leciały na niego jak na jaki miód. Nie, nie mógł złego słowa powiedzieć, nie najgorsze one były, tyle tylko że w baterii z tego powodu stroili z niego żarty. Zużka wyglądała do tego na taką, co się chłopu nie boi, była, jak się to mówi, z piekła rodem i choć Julcio nigdy, nawet w najgorszych chwilach na wojnie, nie był bojaźliwy, jej bał się naprawdę. Popatrzył na Zuzine dłonie jak bochenki chleba — jak się rozzłości, potrafi pewnie nimi przyłożyć porządnie, oddać nie wypada, boż to niewiasta i takie oddawanie niehonorowe. A do tego jest milicjantem, jaki to byłby przykład dla innych? Przez głowę Julcia przeleciały te myśli szybko jak błyskanie się przed piorunem. Odskokzył od Zuzi i usiadł, przypalając papierosa przedtem porządnie skręconego.

— Zrobię panu Julianowi kolację — powiedziała Zuzia łagodnie jak aniołek.

Na początku każda taka słodka, Julcio dobrze o tym wiedział, potem różki pokaże, zechce wszystkim rządzić i słowa własnego nie



da powiedzieć. Teraz na uprzejmość Zuzi nie odpowiadał przecząco, bo wiedział, że w ten sposób tylko przedłuży jej przebywanie u siebie. Będzie, jak zawsze dotąd w takich wypadkach, długo przekonywać go, że mężczyzna tylko udaje takiego bohatera, ale bez kobiety zginie po wojnie jak amen w pacierzu. Kiedy już jadł, Zuzia jak zwykle dopytywała się, czy smakuje. I tym razem ledwie jej odburknął, niewyraźnie potwierdzając, choć zawsze mu smakowało, co zrobiła — a wiadomo, jak ważne dla Julcia było jedzenie. Zuzia odchodząc obiecała, że obowiązkowo przyjdzie jutro rano wydoić krowę. Nie chciał, aby przychodziła, ale jakoś zakazać jej tego nie mógł.

Na drugi dzień zaraz po przebudzeniu się poszedł do stajni. Zuzia już doiła krowę. Pomyslał ze złością na siebie, że był durny przyprowadzając do siebie krowę; dlaczego od razu nie zaprowadził jej do Klimka? Zuzia dojąc przyspiewywała wesoło, jakby wreszcie dorwała się i pełnymi garściami nabierała jakiegoś szczęścia jak złota. Zauważył, że podrzuciła Służbowemu wiązkę siana, a krowie położyła rozwiązany snop słomy. Julcio wrócił do mieszkania, a zaraz za nim przyszła Zuzia. Kilka razy przecedzała mleko przez szmatkę, potem długo szorowała wiadro.

— Ono i tak mi niepotrzebne — podniosła do góry przyniesione wiadro — a panu Julciowi się przyda, bo tamto stare do niczego.



Podobnie jak od kilku dni, zaraz zabrała się do przyrządzania śniadania. Na to tylko czekał. Czmychnął tak cichutko, że nawet nie zauważyła jego wyjścia. Wszedł do stajni i dziwnie pieścotliwie pogłodził krowę, odwiązując ją z łańcucha. Już był z nią na środku podwórza.

— A co też pan Julian robi? — usłyszał głos Zuzi. — Gdzie ją prowadzi, przecież ona jeszcze nie chce do byka, a jak na nią przyjdzie czas, to będzie widać.

Podbiegła i pogłaskała krowę po karku.

— Ja doiła u Niemców wiele krów, ale takiej mlecznej i spokojnej jeszcze nie spotkała w całym swoim życiu — mówiła tklwie do krowy.

Julcio pociągnął kilka kroków krowę. Dziewczyna w jednej chwili obłąpiła stworzenie za szyję swoimi długaczynymi ramionami.

— Moja ty słodziutka i dobra — mówiła dalej pieścotliwym głosem — a jakie ciepło od niej idzie...

Zuzia wpatrywała się w nią miłosiernie, a miłośnie w Julcia.

— To wielki grzech ją sprzedawać!

— Kiedy ja nie sprzedaję, ja ją daję Klimkowi, znaczy się, Klemensowi Janowiczowi — odpowiedział cicho, niezbyt odważnie.

— Czy pan Julian pogubił wszystkie rozumy i takiego skarba chce się pozbyć?! Nie dam ja ciebie nikomu! — znowu mocniej przytuliła się do krowy.

— Pani Zuzanno, to przecież moja, a ja nie mam z nią co robić.

— A co trzeba z krową robić? Karmić i doić, i to wszystko, a ona pewnie i cielić się będzie dobrze. Niełatwo teraz o taką krowę.

— Ale ja ją chcę dać Klimkowi — upierał się.

— Pan Julian pewnie martwi się, kto jej będzie doglądać. Mieszkam przez drogę, to żadna dla mnie udręka podskoczyć nakarmić i wydoić — przekonywała z przejęciem. — Mnie to dojenie takie miłe.

Julcio z desperacją, nic nie odpowiedziawszy, znowu pociągnął krowę za powróż.

— Niech pan Julian zostawi choć na kilka dni, a potem zaprowadzi, gdzie tylko zechce — dziewczyna prosiła płaczliwym głosem. — Chciałabym bardzo podoić ją choć trochę... Janowiczowie mają jedną, nie robi im różnicy tych kilka dni...

Julcio zatrzymał się i teraz, jak rzadko w życiu, a często przy kobietach, nie wiedział, co ma robić. Zaklął z ruska i wyszedł z podwórza, nawet nie oglądając się, jakby już to wszystko najzupełniej przestało go obchodzić. Usłyszał, jak Zuzia wprowadzając krowę do stajni, dalej przemawiała do niej przymilnie. Poszedł prosto do Klimka powiedzieć, co mu szykuje w podarunku. Pomyślał ucieszony, że jak już obieca, to będzie musiał zaprowadzić obowiązkowo. Kiedy był niedaleko obejścia Janowiczów, usłyszał jakby wybuch z tamtej

strony. Przed domem Klimka stało kilkoro ludzi ze wsi.

— A, jak to dobrze, że milicjant akuratnie nadszedł! — ucieszył się Pamiąła, największy nierób we wsi, który potrafił tylko zazdrościć innym, szczególnie dobrym gospodarzom. — U nich wybuchnął bimber — pokazał dom Janowicza uśmiechając się mściwie.

— Może to Józik co zmajstrował? — powiedział najbliższy sąsiad Janowiczów.

— To musi być bimber! — powiedział zawistnie Pamiąła. — I jakież to przykład sołtys daje innym!

— Klimko nie pędzi samogonu — przemówił urzędowo Julian Markieło.

— Kumoter! — wykrzyknął Pamiąła. — Można sprawdzić, panie milicjancie — raptem zmiękł i postawił krok w stronę furtki. — Chodźta, ludzie! — zachęcał stojących.

Julcio pomyślał, czemu tak durnowato zrobił mądry i z rozwagą wszystko robiący Klimko.

— Wracajcie do domów — znowu powiedział urzędowo — a ja pospiuję, co trzeba.

Na progu domu Julcia przywitała Janowiczowa, cała roztrzęsiona i dygocąca ze strachu. Miała twarz osmaloną i włosy kępkami nadpalone. Wyglądała trochę na czarownicę z obrazka dla dzieci.

— Dobry panie Julianie, ot i wielkie nie-szczęście nam się przytrafiło! — wykrzyknęła pochlipując. — Jaż widzę jak zza mgły —



chwyciła się dłońmi za oczy. — Jakiś had podłożył granat, jak my wczoraj byli w polu!

— Zaraz zobaczymy, co to było — odezwał się do niej Julian Markieło.

W tejże chwili przyszedł do sieni Janowicz z Józikiem.

— Gdzie ty pędził samogon?

— Jaki samogon? — zdziwił się Janowicz.

— No zwyczajny samogon, bimber...

— Żadnego ja samogonu nie pędził od miesiąca.

— A gdzie to wybuchnęło? — Julcio postawił pytanie.

Zofia Janowiczowa pokazała drzwi do kuchni. Na podłodze i płycie kuchennej leżały powywracane garnki i potłuczone talerze. Po chwili Julcio zobaczył wyrwane drzwiczki do duchówki.

— To wy w duchówce trzymali samogon? — zdziwił się. — A może rozczyn? — zgadywał.

— Żadnego samogonu my nie robili — zaprzeczała także Janowiczowa.

Julcio dojrzał w kącie wielgachną miskę przykrytą pokrywką.

— A co to takiego?

— Robimy mydło — odpowiedziała Janowiczowa już spokojniejsza, bo jak to u kobiet bywa, łatwo przestraszają się i tak samo szybko wraca do nich spokój.

Julcio zbaraniał od tej kpiny w żywe oczy. Wtem i kobieta pojęła, co pomyślał. Wzięła

go za rękę i podprowadziła do miski. Podniosła pokrywkę.

— O, już zastygło, niedługo będzie można krajać — powiedziała zadowolona.

Julcio zamrugał oczami, w misce była twardniejąca szara masa, która wcale nie wyglądała na samogonowy rozczyn. Na wszelki wypadek pochylił się nad miską, ale nie poczuł ostrości w nosie. To coś w misce miało mdławy zapach, niepodobny do samogonowego.

— Ja mogłabym panu Julianowi pokazać, jak trzeba robić mydło — powiedziała Janowiczowa, jakby już zapomniała o wybuchu. Trzeba wziąć trochę łożu, kupić sody i skombinować w mieście natronu. Ale ile czego potrzeba, żeby pasowało, to ja panu Julianowi powiem, żeb zapisał.

Julcio odwrócił się do kuchni.

— To co to wybuchnęło?

— Mama trzymała tutaj proch — powiedział Józik Janowiczów — taki długi, co ja brał, żeby w piasku postrzelać. — Chłopak przyznawał się bez bicia. — Jak się taki proch zapaliło i zaraz zagrzebało w piasku, a potem przyciskało z całej siły nogą, to on się wyrywał i leciał palący daleko — pochwalił się Józik panu Julianowi Markiele.

— Och, ja stara, a durna, na śmierć zapomniała! Toż to i prawda, jaż trzymała jego na podpałkę! — biła się w piersi Janowiczowa.

Julcio roześmiał się w głos, zaśmiał się także Klemens Janowicz. Po chwili uśmiechnęła się też Zofia Janowiczowa.

— Bóg nas i tym razem uchronił i nie się nikomu nie stało — powiedziała z ulgą, zacierając się do sprzątania.

Janowicz wyszedł za Julciem do sieni.

— Znowu rozpytywała się o ciebie Zużka Felczak — sekretnie powiedział szeptem.

Julcio milczał.

— Zużka robotna i przy kości, to i urodzić może nie najgorzej, żeż i nie hadka. W sam raz, Julcio, ona dla ciebie, bo i ty jurny jak się należy — Janowicz mówił zachwalając — a podobnież i ona uczeńska od innych, mówią, że przed wojną chodziła cztery zimy do szkoły i u Niemców się różności wyuczyła. Nawet jak jaki organista potrafiąca przeczytać melodie...

— Cóż ty mnie to mówisz? — przerwał Julcio.

— Jak to co? Ty sam, a jak weźmiesz zdrową i uczoną kobietę, a w pierwszym rzędzie jak będziesz miał taką zdrową, co ją do pługa można by zaprzęgnąć, to i gospodarkę ty niechęć poprowadzisz — tłumaczył Janowicz po gospodarsku. — Zużka mnie powiedziała, że sklep jej nudny... A i w łóżku ty by miał kapekę jak trzeba...

Na te ostatnie słowa weszła do sieni Janowiczowa.

— Żeby tobie język kołkiem stanął, dzie-



ciaka by się wstydził, toż on usłyszy, jakiego ma ojca! Ty brechniesz, a ludzie złośliwie doniosą, nie daj Panie Boże, Zuzi!

Julcio szybko a delikatnie pożegnał się. Przed domem Janowiczów nie było już nikogo, widać znudziło się ludziom czekanie; ucieszył się, że niczego nie musi wioskowym tłumaczyć. Na drodze przypomniał sobie, że zapomniał powiedzieć Klimkowi o krowie. Trudno, powiadomi go o tym jutro.

Tego samego dnia po powrocie z Topolewa, kiedy Julian Markieło zdjął przemoczone buty, znowu przyszła Zuzia wydoić krowę i przyszykować kolację. Musiała zaraza stać w oknie, bo zawsze wypatrzyła, kiedy wracał do domu. Julcio jednak teraz jakoś nie był, jak przedtem, na nią tak bardzo zły. Może wrócił za mocno zmęczony, żeby jeszcze mieć siłę się złościć. Na posterunku mieli ciężki dzień, gonili złodziei prawie pod sam Starogard i wszystko na nic. A może nie był dzisiaj taki zły na Zuzię i z innej przyczyny. Może wziął trochę do serca Janowiczowe gadanie, przecież zawsze słuchał Klimka, i na wojnie, i w baterii w Bobrzyńsku. Jak było naprawdę, Julcio sam nie wiedział i nawet o tym za bardzo nie myślał. Leżał leniwie na łóżku, a Zuzia szykowała mu jedzenie. Nagle dziewczyna podskoczyła zrzucając patelnię na ziemię. Przestraszona z krzykiem podbiegła do Julcia, przytulając się do niego. Stało się to tak niespodziewanie, że nie zdążył nawet

poruszyć się. Po chwili było już za późno na cokolwiek, Zuzia wtulona w niego drżała jak jakie dziecko nieszczęśliwe, choć była najwięszą panienką w wiosce.

— Mysz, mysz! — wreszcie jęklwie wykrztusiła.

Julcio roześmiał się, pierwszy raz przy niej z wielką pewnością siebie. Ot, taka duża i zdrowa, a boi się głupiej myszy! Ona tak samo prawdziwa jak inne dziewczyny!

— Tob ja w życiu nie pomyślał, że ty boisz się myszy — powiedział i jakby trochę sam ją przytulił.

— Ja bez mała nie umarła — przytuliła się do niego jeszcze bardziej. — Julek, ty mnie nie wyganiaj... — powiedziała cicho do jego piersi.

— Jaż ciebie, Zużka, nie wypędzam... — uspokajał ją, ale ona zaraz zamknęła jego usta, jakby niechcąc, a prawdziwie całując.

— Nic ty, Juleczku, nie mów... Ja tak się przestraszyła, że gdyby nie ty... — mówiła do niego miłośnie.

Po chwili Julcio zrozumiał, jak mu dobrze i prawdziwie po ludzku leżeć z Zużką.

I tak to myszy, które były tego roku straszną plagą i dopustem bożym, zostały najlepszymi swatami Juliana Markiely i Zuzanny Felczakówny.

## Naprawdę już po wojnie

Kiedy Julian Markieło obudził się, rozwidniało się już na dobre. Przypomniawszy sobie wczorajszy dzień i zaraz odwrócił się ostrożnie do ściany, ale nie znalazł tam nikogo. Rozejrzał się po pokoju, Zuzi nigdzie nie było. Po chwili weszła niosąc drewno. Przymknął oczy udając, że śpi sobie w najlepsze. Nie wytrzymał jednak długo i jednym okiem ostrożnie zaczął się przyglądać. Zuzia klęczała rozpalając w piecyku, nuciła przy tym cichutętko z wielkim zadowoleniem. Ot, czego potrzeba zdrowej, a i nie starej jeszcze pannie, pomyślał Julcio. Nie, nie mógł nawet sam przed sobą powiedzieć, że był niezadowolony. Zuzia niebrzydka, a i cieszyła się z niego jak żadna z tych, które miał na froncie i zaraz po wojnie. Wczoraj wszystko było jakieś niezwykłe i inne, prawdziwie delikatne, jakby pańskie. Przeszła przez jego głowę myśl, że teraz jemu wszystko jedno, a nawet dobrze, że tak się stało, bo trzeba wreszcie zacząć



żyć jak inni, po ludzku. Po jakimś czasie Zuzia wyszła i wtedy otwierając szeroko oczy, zobaczył swój pokój czyściuteńko posprzątanym. Musiała wstać co najmniej o godzinę wcześniej. Julcio umył się i ubrał. Zaraz też wróciła Zuzia z mlekiem, które jak każdego dnia przecedzała kilka razy przez szmatkę. Dobra ona i robotna, znowu pomyślał, żeby tylko zanadto jej nie przechwalić, bo jak każdą, znarowić bystro można.

Śniadanie jedli prawie w milczeniu. Zuzia zachowywała się jak gdyby nigdy nic, tyle tylko, że teraz bez przerwy uśmiechała się do Julcia. Przechodząc przez pokój, ocierała się o niego jak kotka, co jemu wcale nie było ani nieprzyjemne ani zawstydzające, a wręcz odwrotnie. Po śniadaniu dziewczyna kilka razy w zamyśleniu otwierała drugi pokój, nielicho zaśmiecony i zagracony jakimiś połamanymi rzeczami, cegłami i papierzyskami. Julcio z łatwością zgadywał, o czym ona myśli. Gdy szykował Służbowego do drogi, powiedziała, że jakieś ma podliczenia w sklepie i musi już wyjść. Na odchodnym zapytała, czy dzisiaj wróci późno. A więc dobiera się do niego jak każda, i zaraz ze zdziwieniem dalej pomyślał, że wcale nie rozżłościł się jej babskim dopytywaniem się.

Po odejściu Zuzi wyprowadził Służbowego i jak co dzień pojechał na nim na posterunek do Topolewa. Julcio po zameldowaniu się ko-

mendantowi Józkowi od razu poszedł do Olka Łosia do młyna.

— Toż ja ciebie oczekuję już tydzień — wypomnił mu Łoś.

— Jaż na służbie, a wszystkich nas na posterunku trzech i roboty dzień w dzień do czorta — usprawiedliwiał się Julcio milicjant.

— Trudko! — zawołał w stronę kuchni Olek Łoś.

Zaraz weszła młodziutka dziewczyna z białymi jak mleko włosami i buzią lalki. Julian Markieło nawet z daleka poznałby, że to najprawdziwsza szwabka.

— Przynieś nam co do jedzenia i butelkę — powiedział do niej Łoś po polsku, bo wiedać rozumiała ona polską mowę.

Dziewczyna bez jednego słowa wyszła.

— Ja u ciebie widział ostatnim razem inną — zdziwił się Julcio.

Łoś Olek zaśmiał się z niemałym zadowoleniem.

— Tamta wyjechała z rodziną do Niemiec, a ta jak pszczołka słodziuteńka — odpowiedział rozradowany. — Tamtą, co ty widział, rodzina przymusiła do wyjechania.

Blondyneczka przyniosła wódkę i jedzenie. Olek poklepał ją po zgrabnym tyłeczku, a ona zadowolona zaśmiała się cieniuteńko.

— Cóż ty popatrzył, jakby sam był święty jaki — zaśmiał się Łoś. — Toż one jeszcze bardziej od naszych lubią takie klepanie.

A na wojnie ja był durny, to teraz odbijam stracone.

Poczęli jeść i pić. Julcio pomyślał z zadowoleniem, że on sam też ma swoją kobietę, i to pewnie już na zawsze.

— Mamż ja, Julcio, taki kłopot — zaczął już podpity Olek Łoś. — Moja ślubna ciągle pisze, że najwyższy czas do mnie przyjechać, ale ja ją straszę, że tutaj bandytów i esesmanów do czorta w lesie — żalił się z utrapienia Łoś Aleksander. — A onaż mnie odpisuje, że jej rozpowiadali, że na Ziemiach Odzyskanych już nie najgorzej i jak od bulbowców rezunów uchroniła się, to i teraz nie może być straszniej... Już mnie się jej dłużej mieć nie da...

Julian Markieło własnym a osobistym uszom nie wierzył. Olek Łoś był najmniej odważny w tych sprawach z kobietami! Nigdy jemu ani na froncie, ani w Bobrzyńsku, jak innym, nie ścinali za karę włosów.

— Zwali się do mnie z dzieciakami i tiurma apiat' — Olek znowu nalał do kieliszków. — No, Julcio, wypijmy, jak to my mówili zawsze, nasze kawalerskie — podniósł kieliszek.

— To kiedy my się wybierzemy do miasta po te pasy, co tobie potrzebne? — zapytał Julcio.

Aleksander Łoś jakby tego pytania nie usłyszał.



— Ja tobie mówię, Julcio, ty się nie żeń ani nie związuj z jedną! — pogroził mu śmiesznie palcem. — Tego nasienia babskiego wszędzie do czorta! — zarechotał.

Julcio pomyślał zaraz jak jaki filozof, że nie tylko wojna ludzi odmieniania, ale jeszcze bardziej odmienieni mogą oni stać się po wojnie, jak na przykład Olek Łoś. Aż dziwne, myślał dalej, on jakby zgadywał jego i Zuzine sprawy najnowsze i jakby go od zamiarów odstręczał.

Na odchodnym Julcia Łoś trochę wytrzeźwiał, więc umówili się, że jutro rano pojedą autem milicyjnym do miasta.

Choć Julcio bardzo późno wrócił do domu, zastał u siebie Zuzię. Po przywitaniu go stęsknionymi oczyma zaraz otworzyła drzwi do drugiego pokoju. Kiedy zapaliła świeczkę, Julian Markieło nie wierzył sam sobie. Pokój był wysprzątany, czyściuteńki, ze stołem na środku i z krzesłami wokoło. Zuzia pociągnęła go dalej. Na głównej ścianie wisiał wielki obraz z wymalowanymi na nim domami i drzewami, pod obrazem stało coś czarnego i wąskiego, jakby przyklepionego do ściany. W mdławym świetle świeczki Julcio nie rozpoznał, co to takiego.

— Tutaj będzie nasz salon, ja go umebluję jak się patrzy — mówiła Zuzia ciesząc się jak dziecko. — Potem zabierzemy się do trzeciego pokoju, z którego zrobimy prawdziwą sy-

pialnię. Już nawet upatrzyłam ładne łóżko z baldachimem, wcale nie takie znowu drogie.

Julian Markieło stał oniemiały, jakby mowę mu naraz odebrało.

— A co to czarnego? — zapytał.

Zuzia spojrzała na niego zdziwiona.

— To najprawdziwsze w świecie pianino i wcale w nie najgorszym stanie. To cud, że kupiłam je tak tanio, dałam temu dziwakowi bez nogi z końca wsi sześć kur, a on z wdzięczności chciał mnie całować po rękach.

— Toż ja w zajętych miastach na froncie widział takie pijanina, a nawet większe i szersze, jak powykręcane stoły — ratował swój honor w oczach Zuzi.

— To były fortepiany, będziemy i my mieli potem fortepian, już moja w tym głowa.

Julcio, chcąc zmienić rozmowę, wpatrywał się w obraz wiszący na ścianie.

— To olej — powiedziała z dumą Zuzia. — Kupiłam za dwa litry spirytusu.

— Jaki olej?

— To znaczy, że namalowano go farbą olejną.

Julciowi zrobiło się strasznie wrednie, że Zuźka mądrzejsza od niego.

— A skąd ty wzięła i spirytus, i kury? — zapytał jak prokurator.

— Kury miałam, a spirytus kupiłam za słoninę — usłyszał jej spokojną odpowiedź.

— A umiejąca ty grać na takim czymś?

Zuzia, jakby czekała na to. Prawie podbiegła do pianina, podniosła wieko i kucając zaczęła grać. Julcio z boku przyświecał jej świeczką.

— Prawdziwie ty i gramotna — pochwalił ją po męsku, kiedy skończyła.

W głowie jego zakotłowało się od myśli. Z jednej strony to dobrze, że ona taka uczonna, z drugiej znowuż nie bardzo honorowo być głupszym od niej. Musowo znaleźć jakiś na to sposób, żeby uchronić się od hańby w oczach ludzi.

— Nauczyłam się wiele, służąc przez rok u starego Niemca, który był grafem — powiedziała Zuzia.

Tego wieczora Julian Markieło poszedł spać niezwykajnie wcześniej, bo przecież już z samego ranka wybierał się z Olkiem Łosiem do miasta. A z tego szybkiego pójścia spać i Zuzia była zadowolona. Szybko położyła się obok i miłośnie przytuliła się do niego. Tym razem nawet zapomniała wydoić krowę, ale o tym przypomniała sobie dopiero przy ranym dojeniu.

Do miasta przyjechali przed południem. Przywiózł ich autem milicyjnym trzeci milicjant z ich posterunku, Stefan Małyszak. Został on przy aucie na jednym z placów w środku miasta, a Julcio Markieło i Olek Łoś poszli szukać tych pasów koniecznych do



młyna. Najpierw zaszli do starostwa, ale tam nikt o niczym nie chciał słyszeć i nawet biało-czerwona opaska na mundurze wojskowym Julcia nie pomogła. Zaszli też do urzędu Państwowych Nieruchomości Ziemskich, ale i stamtąd odesłano ich z kwitkiem, to znaczy bez niczego. Wreszcie uplanowali pójść na komendę milicji, gdzie Julcio miał znajomych, może oni pomogą, zdarza się przecież odbierać szabrownikom różne rzeczy, może więc i pasy niedawno komuś odebrano.

Przez ulice miasta szli obaj markotni. W jednym momencie Julcio Markieło zapatrzył się na dziwne opancerzone auto bez dachu, które przypominało swoim wyglądem wojskową pancerkę. Gdy podeszli bliżej, w pierwszej chwili nie chcieli wierzyć własnym oczom. Z auta wyskoczył zwinnie, jak na filmie zeskakuje ułan z konia, nie kto inny jak tylko sam Kazik Nafta.

— Kazik, to ty?! — z przejęciem wykrzyknął Julcio.

Kazimierz Nafta wyprostował się i popatrzył na nich, co ta za jedni go zaczepiają. Uściskali się prawdziwie po kanoniersku. Poczuli po Kazikowym oddechu, że on już dobrze sobie zakropił, choć było dopiero południe. Zaraz posypały się pytania, pytali jeden przez drugiego.

— A coście, panoczki, myśleli, że pan Kazimierz Nafta od macochy?! — wykrzyknął

Kazik wypiąwszy pierś jak jaki bohater na obrazku.

Kiwali z podziwem głowami, żeby zrobić Kazikowi przyjemność.

— No to właście, panowie, a ja już was ugoszczę jak trzeba!

Kazik Nafta usiadł za kierownicą, oni obaj wgramolili się na tylne siedzenie.

— Calutki jest mój, ale ja mieszkam tylko na czwartym piętrze — powiedział do nich, kiedy zatrzymali się przed czteropiętrowym domem.

Zaprowadził ich na czwarte piętro. Porozsadzał w wielkich, żółtą skórą obitych fotelach.

— Pójdę wydać rozkazy kucharce — powiedział wychodząc.

Nie minęło i pół godziny, gdy siedzieli już za dobrze i gęsto zastawionym stołem, na którym były i kureczaki, i inne mięso, baleron i salceson, kilka gatunków ryb, każda inaczej przyrządzona. Stał wielki tort, którego żaden z nich nie ruszył. Poznali też mięso z puszek z Unrry. W to im było graj, szczególnie Julciowi, który i tym razem jadł co najmniej za dwóch. Naprawdę stół u Kazika Nafty wyglądał jak u jakiego bogatego pana przedwojennego.

— Ale żeby tutaj, w takim dużym mieście było bezpiecznie, tego nie powiedziałbym — odezwał się Olek Łoś.

— O, teraz o wiele łatwiej, nie to co w zeszłym roku — odpowiedział Kazik. — Już nie ma esesmanów, którzy poprzebierani specjalnie zostali w mieście, żeby mordować i palić domy. Poukrywani w mieście Niemcy spalili zeszłego roku orkiestrę, a nawet podpálili muzeum, taki dom ze starymi różnymi rzeczami, nikomu niepotrzebnymi...

Kazik Nafta na chwilę zamilkł.

— Ale jak podpálili urząd tego najważniejszego, znaczy się, pełnomocnika, tośmy zaraz ich prawie wszystkich wyłapali, a z tych, co się nie chcieli poddać, porobili rzeszota — powiedział z dumą. — Niektórzy z nich mieli mapy, na których skurczybyki zaznaczyli, co mają jeszcze podpalić.

— A co ty robił przez ten czas? — zapytał Olek Łoś.

— Jak to co? — zdziwił się Kazik. — Bił ja tych poprzebieranych szwabów — wyjaśnił krótko. — A widzę, że i ty, Julcio, jakby w milicji?

Olek Łoś zaczął opowiadać o Julciowej milicyjnej przemyślności w odszukiwaniu rzeczy zrabowanych przez szabrowników i złodziei. Kazik Nafta śmiał się i szczerze podziwiał Julcia. Naprawdę wydawał im się teraz całkiem inny, o wiele normalniejszy niż w baterii w Bobrzyńsku.

— Jeżeli on taki wywiadowca, to ja mam coś dla niego — powiedział uśmiechając się łobuzersko i mrugając okiem. — Wyjdźcie wy,



no, na pięć minut za drzwi i wróciwszy znajdzie, gdzie ja się podział.

Posłusznie wyszli; jak tylko wstali, obaj poczuli, że są już nielicho podpici. Kiedy wrócili, nigdzie nie znaleźli ani śladu Kazika. W pokoju nie było drugich drzwi, a przecież oknami z czwartego piętra nie mógł on wyjść, bo mur był gładki i uczepić się nie miałby czego; okna innych pokoi też daleko i jakby on po gładkim murze do nich doszedł? Przeszukali i kufer tutaj stojący, i kredens, w szafie przemacał Julcio każdziutkie ubranie, też na nic. Posprawdzał podłogę, a nawet dno szafy i tutaj także na nic podejrzanego nie natrafili.

— Cholera jedna, jakby zapadł się pod ziemię, albo zamienił w powietrze, czortowe nasienie! — Julcio zaklął zły aż do samiutkiej wątroby.

— Znajac Kazika, powietrze, w które on by się zamienił czuć byłoby nim samym — zażartował Olek Łoś.

Julianowi Markiele wcale nie było do żartów. Jego honor milicyjny był już akuratnie zdeptany.

— Wychodzimy! — krzyknął Łoś.

Kiedy po chwili wrócili, Kazimierz Nafta siedział przy stole zadowolony jak jaki aniołek na suficie w kościele.

— Ot, i ja wam przyniosł jeszcze trochę wodiczki — śmiał się, pokazując trzy nowe półlitrowki.

Popatrywali na niego w milczeniu. Julcio dziwił się, że on nawet nie wygnieciony ani nie wysmarowany przez to włożenie i chowanie się nie wiadomo gdzie.

— Jeszcze na początku tego roku żyłem jak hrabia — Kazik rozpoczął nowe przechwałki. — Miałem dwie kucharki, jedną bufetową i pomocnicę bufetowej, co mnie prowadziły na dole interes, miałem też jednego chłopaka na posyłki, starego, który pilnował zaopatrzenia we wszystko, co trzeba, i miałem ja jeszcze paluszki lizać metresę — Kazik z wielkim zadowoleniem wypowiedział to ostatnie słowo.

— A co to takiego matrasa? — zapytał Julcio.

Łoś także wpatrywał się w Kazika.

— Och, wy nieuczone duraki! Metresa toż to najelegantsza kochanka, a była ona prima — mówiąc to ugryzł z wielkim apetytem kawał kurczaka.

Obaj siedzieli zaciekawieni, gdzie Kazik był, jak jego nie było, ale on jak na złość nie śpieszył się tego wyjaśnić. Julcio, męczony sromotą, wiercił się w swoim wielgachnym fotelu.

— Co z ciebie, Julcio, za milicjant? — zakpił w żywe oczy Kazik. — Zaraz wam pokażę.

Kazik Nafta wstał, otworzył szafę z ubraniami i wszedł do środka zamykając za sobą drzwi. Podeszli za nim, otworzyli szafę, ale

jego w szafie nie było, choć wiadomo, że tutaj wlaźł.

— Musi być dziura w ścianie szafy — powiedział Łoś.

Zaczęli obmacywać, ale nigdzie nic nie puszczają, szafa była gładka jak trzeba. Raptem tylna jej ściana przesunęła się i poprzez rozchylone ubrania zobaczyli Kazika. Przywoływał ich z drugiego pokoju. Podeszli więc do niego.

— Wystarczy tutaj przycisnąć, a ona jedzie jak po maśle, potem przycisnąć tutaj i wraca, o tak! — pokazywał.

Ścianka cicho przesuwała się, raz zasłaniając ubrania w szafie, raz odsłaniając. Z drugiego pomieszczenia też nikt by nie poznał, że tutaj coś się rozsuwa, bo wszędzie po zasunięciu była jednakowo tapetowana ściana.

Z ciekawością rozglądali się po pokoju, w którym się znaleźli. Zobaczyli szeroki stół zastawiony różnorakiej wielkości słoikami i szklanymi butlami. Podeszli bliżej. W pierwszym słoiku, jednym z najmniejszych, leżał sobie spokojnie wąż.

— Toż to żmija! — rozpoznał Olek Łoś. — Ileż ja tego gadostwa w życiu nazabijał!

W szklanej butli leżała głowa dzika, w drugim obok dwie zrosnięte głowy cielaka, w trzecim jakiś wielki ptak.

— A tutaj najciekawszy słoiczek, to z niego ja wam nalewał, bo on dla specjalnych



gości — Kazik z chytrym uśmiechem pokazał ostatnią szklaną bańkę. — W tym słoiczku jest główka takiego zwierzaka, co żywi się trupami. Nazywa się hiena.

Julcio Markieło nie usłyszał już jego ostatnich słów. W jednej chwili cały zdrętwiał i posiniał, wyglądało, jakby naprawdę umierał na stojąco. Po chwili, chwielejąc się, potoczył się do tyłu w kąt pokoju. Zaczął trząść się straszliwie, zbierało go najwyraźniej na wymioty. Ale choć zjadł jak zwykle dużo, niczego nie mógł wyrzygać, mimo że całe jedzenie parło pod samo gardło. Skulił się przykucnięty w kącie i jakby jeszcze zmniejszył się o połowę. Łoś podszedł krok do Kazika, zacisnął usta, aż zachrobotały zęby, podniósł na niego kulać, też mocno zaciśnięty. Stracił jednak równowagę i upadł na brzeg stołu, strącając słoik z maciupieńkim ptaszkiem w środku.

— Przecie wam smakowała! — Kazik zaśmiał się rozradowany.

— A czemu ty tego ze środka nie powyrzucał? — zapiszczał z kąta Julcio, już całkiem wytrzeźwiały.

— A czy to nie wszystko jedno, spirytusu i tak bym nie wylał!

— To po co ty nam pokazywał? — złościł się Olek Łoś.

Kiedy wrócili tą samą drogą przez szafę do poprzedniego pokoju, stół był już sprzątnięty. Zaraz też obaj wyszli, ledwo mruk-

nąwszy pożegnanie, a w mruczeniu ich było przeklinanie ciche, choć nielecho wredne.

Taką to parszywą i narwaną naturę miał Kazimierz Nafta i wciąż jej nie zmieniał, choć zaczął się już drugi rok po wojnie.

Znaleźli porządnie rozeźlonego czekaniem Stefka Małyszaka i pojechali z powrotem, niczego w mieście nie załatwiwszy. Siedzieli w aucie w milczeniu, popatrywali tylko na siebie nieznacznie i jeden o drugim wiedział bez mówienia, co każdy myśli.

Julian Markieło znowu zastał u siebie Zuzię, która czekając na niego, spała wygodnie w jego łóżku z jedną nogą na wierzchu koca. Obudziła się i parująca ciepłem wstała, żeby przytulić się do niego. Julcio jednakże tej nocy był jakby nie ten sam, leniwy i prawie do niczego. Było mu jednak wszystko jedno i Zuzia, co chciała, to z nim robiła.

Rano Julian Markieło, zawsze taki żywotny i ruchliwy, czuł się słabo, bez przerwy narzekał na brzuch.

— Pewnie coś niedobrego zjadłeś — z troską odezwała się Zuzia.

Nie odpowiedział, popatrzył tylko na nią i zaraz się uspokoił, bo skąd mogłaby ona cokolwiek wiedzieć? I pierwszy raz w życiu zrozumiał, że może narzekać dalej, bo przecież ma swoją osobistą kobietę przy sobie. Tego dnia postanowił dopiero w południe po-

jechać na posterunek, chciał porządnie odpocząć, bo to spotkanie z Kazikiem Naftą było jeszcze gorsze od najgorszych rzeczy na wojnie, do których Julcio był przywykły.

Zuzia, cierpliwie wysłuchując jego narzekania na żołądek, powiedziała, że sklep otworzy dopiero po jego wyjeździe. Julcio mając szczęście u dziewczyny, nie miał jednak i tego dnia spokoju. Kiedy przygotowywał już Służbowego do drogi, przyszedł radziecki żołnierz od saperów z majątku. Był z dziewczyną, która bez przerwy tuliła się do niego i wpaływała się jak w jakie święte bóstwo. Dziewczyna miała ładniutką buzię z zadartym nosem, żołnierz był ryży i piegowaty, z długim nosem i tylko ciut, ciut wyższy od Juliana Markieły. Zaraz w pierwszych słowach powiadomił ich, że jest z samego Kowna i komsomolec. Nie zastali sołtysa, więc przyszli do niego, bo dowiedzieli się, że towarzysz władza. Julcio, choć śpieszyło mu się bardzo, rad nierad, zaprosił ich do mieszkania.

— W jakiej wy sprawie? — zapytał po rosyjsku, bo znał ten język nie gorzej od swego.

— Chcieli my wziąć ślub! — usłyszał rozkazującą odpowiedź.

— To trzeba iść do urzędu — Julcio odpowiedział grzecznie.

— Sołtys w szpitalu, a nam spieszno.

— Przecież u nas sołtys nie daje ślubów — wyjaśnił Julian Markieło i zaraz pomyślał,



dlaczego nie poszedł on do Klimka Janowicza. Nic jednak nie powiedział.

— U nas także nie, ale teraz już czas powojenny i nam spieszo.

Żołnierz wyciągnął kartkę papieru, na której Julcio przeczytał, że dnia dzisiejszego odbył się ślub Stasysa Żmoguwaitisa, urodzonego wtedy i wtedy w Kownie. Papier był nie podpisany.

Julian Markieło nie wiedział, co począć i jak żołnierzowi wytłumaczyć rzecz całą. Odsunął podany papier. Żołnierz ze złości zmarszczył twarz, na której powiększyły się wszystkie pęgi. Po chwili Litwin wziął pod rękę swoją dziewczynę i podniósł głowę pobożnie jak w kościele.

— Ja będę mówił, a ty powtarzaj, a ja będę odpowiadać! — rozkazał Julciowi. — Mnie starszyna słów akuratnych nauczył, a ja komсомолец i zaraz muszę się ożenić. Powtarzaj po mnie!

Co miał Julian Markieło robić? Z takim nie przelewki, bo może i pistolet gdzie ma przy sobie. Powtarzał więc za żołnierzem, a żołnierz, jak było pytanie, odpowiadał. W pewnym momencie Julcio pojął, że on naprawdę daje im ślub, zająknął się i chciał przerwać, ale żołnierz znowu popatrzył na niego z jeszcze większą groźbą. Julcio powtarzał więc za nim dalej. Kiedy mowa już była skończona, rozradowany pan młody kazał podpisać

papierek leżący na stole. Julcio już się nie opierał i podpisał, zwłaszcza że i Zuzia, która cały czas stała przy nich, radośnie nakazała mu kiwnięciem głowy. Żołnierz rozkazał podpisać także Zuzi, co też ona zrobiła z największą przyjemnością.

— Im więcej podpisów, tym bumaga ważniejsza — powiedział zadowolony Stasys Żmoguwałtis.

— Ale i tak trzeba z tym do urzędu — podpowiedział Julcio.

— Ja już to wszystko załatwię atliczno — uspokoił go Litwin. — Najważniejsza pierwsza bumaga.

— Proszę do drugiego pokoju — poprosiła Zuzia i nakazała, żeby Julcio przetłumaczył, co też on zaraz zrobił.

Zuzia siadła do pianina i zagrała. Młoda para, pojawiawszy, w czym rzecz, stała nabożnie jak w prawdziwym kościele. Kiedy Zuzia skończyła grać, oboje z całego serca podziękowali im za serdeczny prijom.

— Ty nie biespokojisia, wsio budiet w pariadkie — powiedział na odchodnym żołnierz.

— Nie mógł ja jemu plunąć w twarz... — po ich wyjściu usprawiedliwiał się zasepiony Julian Markieło.

— To bardzo dobrze, Juleczku, przecież widziałeś, że ona już w ciąży.

Nie, Julcio niczego nie zauważył, bo i nie przypatrywał się dziewczynie.

— To dlatego żołnierz powiedział, że im

tak spieszno, i dlatego mówił, że on komсомолец i musi obowiązkowo wziąć ślub... — Julcio umilkł na chwilę. — Ale czy im uznają ten papierek i wydadzą prawdziwy?

— Ty się o nich nie martw, po tym żołnierzu było widać, że on dopnie swego — odpowiedziała Zuzia. — Ty lepiej pomyśl o tym, kiedy my weźmiemy ślub — zapytała z nagłą przymilnością.

Julciowi było już wszystko jedno. On dawał ślub, to i sam może wziąć, zwłaszcza że on i Zuzia już teraz są jakby mężem i żoną.

— Kiedy zechcesz — odpowiedział z powagą.

Julian Markieło nagle pojął, że we wszystkim, w czym tylko może być, odtąd jest już naprawdę po wojnie. I zrozumiał, że po tym wojennym czasie jakby skądś z bardzo daleka wrócił nareszcie na ziemię. Na zawsze.







## Spis treści

|                                               |     |
|-----------------------------------------------|-----|
| Parszywa natura ogniomistrza Kłosa . . .      | 5   |
| Wesele u osadników . . . . .                  | 19  |
| Zofia Janowiczowa przyjeżdża do baterii . . . | 31  |
| Śmierć konia po wojnie . . . . .              | 45  |
| Sprawiedliwość kanoniera Markiely . . . .     | 56  |
| Kaczki i świniaki . . . . .                   | 65  |
| Pożegnanie kapitana Arszenki . . . . .        | 82  |
| Kanonier Janowicz zwolniony z wojska . . .    | 95  |
| Konna podróż Julcia Markiely . . . . .        | 106 |
| Mongolek i karawan . . . . .                  | 126 |
| Myszy potrzebują kotów . . . . .              | 142 |
| Zuzia, krowa i mysz . . . . .                 | 160 |
| Naprawdę już po wojnie . . . . .              | 179 |

Redaktor: Aleksandra Karska  
Redaktor techniczny: Mirosław Kopiński  
Korektorzy: Maria Jasnosz, Maria Kubasik

Printed in Poland

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE POZNAŃ 1978

Wydanie I. Nakład 10 000+290 egz. Ark. wyd. 6,7; ark. druk. 8,33. Oddano do składania 25.01.1978 r. Podpisano do druku 18.09.1978 r. Druk ukończono w październiku 1978 r. Papier druk. sat. kl. 3. 71 g. 92×114. Zam. nr 16/78 J-3/190  
Cena zł 16,—

PRASOWE ZAKŁADY GRAFICZNE KOSZALIN, Zam. D-108



**W KAŻDĄ PODRÓŻ**

*wiersze — 1966*

**UPOMINEK JUBILEUSZOWY**

*opowiadania — 1968*

**JEŚLI MIŁOŚĆ NAZWAC**

*wiersze — 1970*

**CZŁOWIEK Z RYBĄ**

*opowiadania — 1971*

**MIŁOŚĆ LEGENDĄ INNYCH**

*opowiadania — 1972*

**WINO PESTKOWE**

*wybór opowiadań — 1974*

**MIARA DŁONI**

*wiersze — 1977*

Cena zł 16,—

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA  
BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
im. M. Dąbrowskiej  
w Słupsku

Nr inwent.

91 853

MBP Słupsk Centrala



91853

